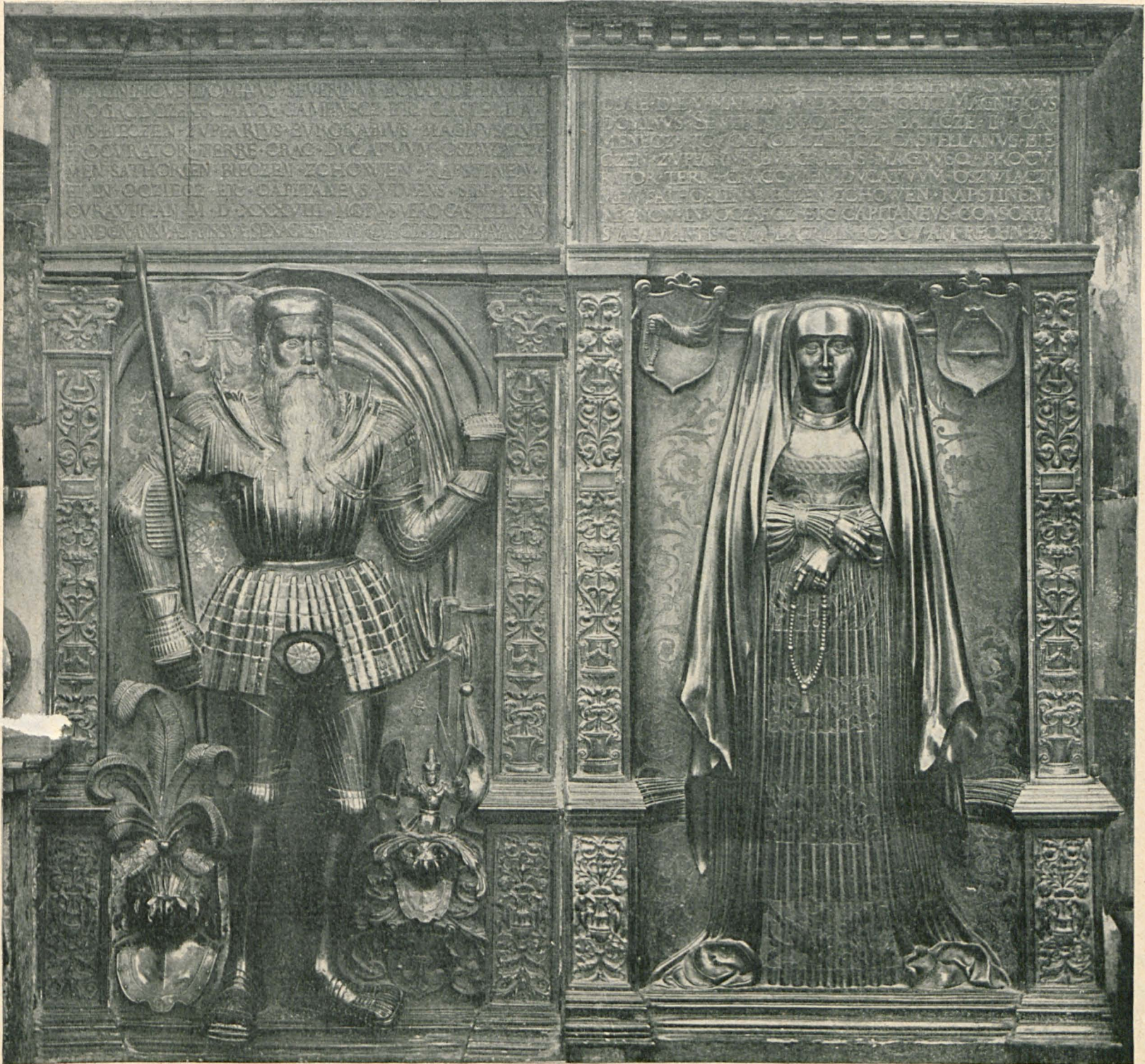
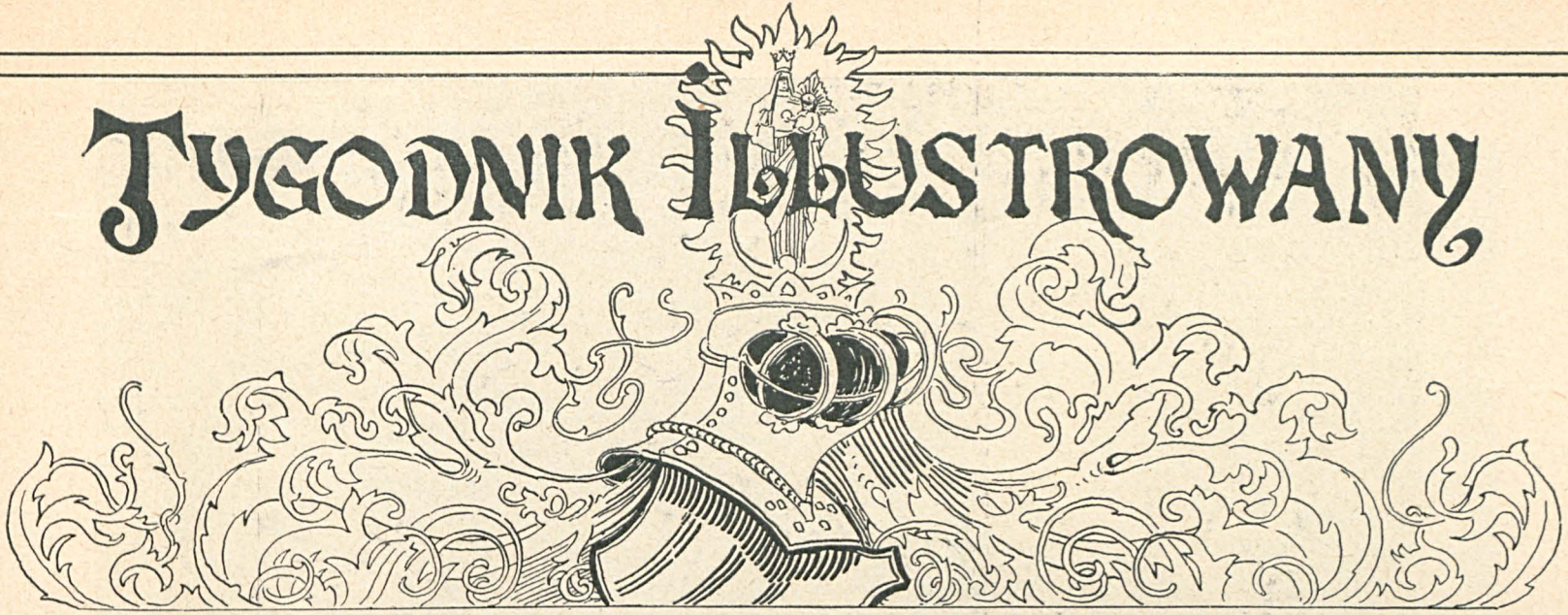


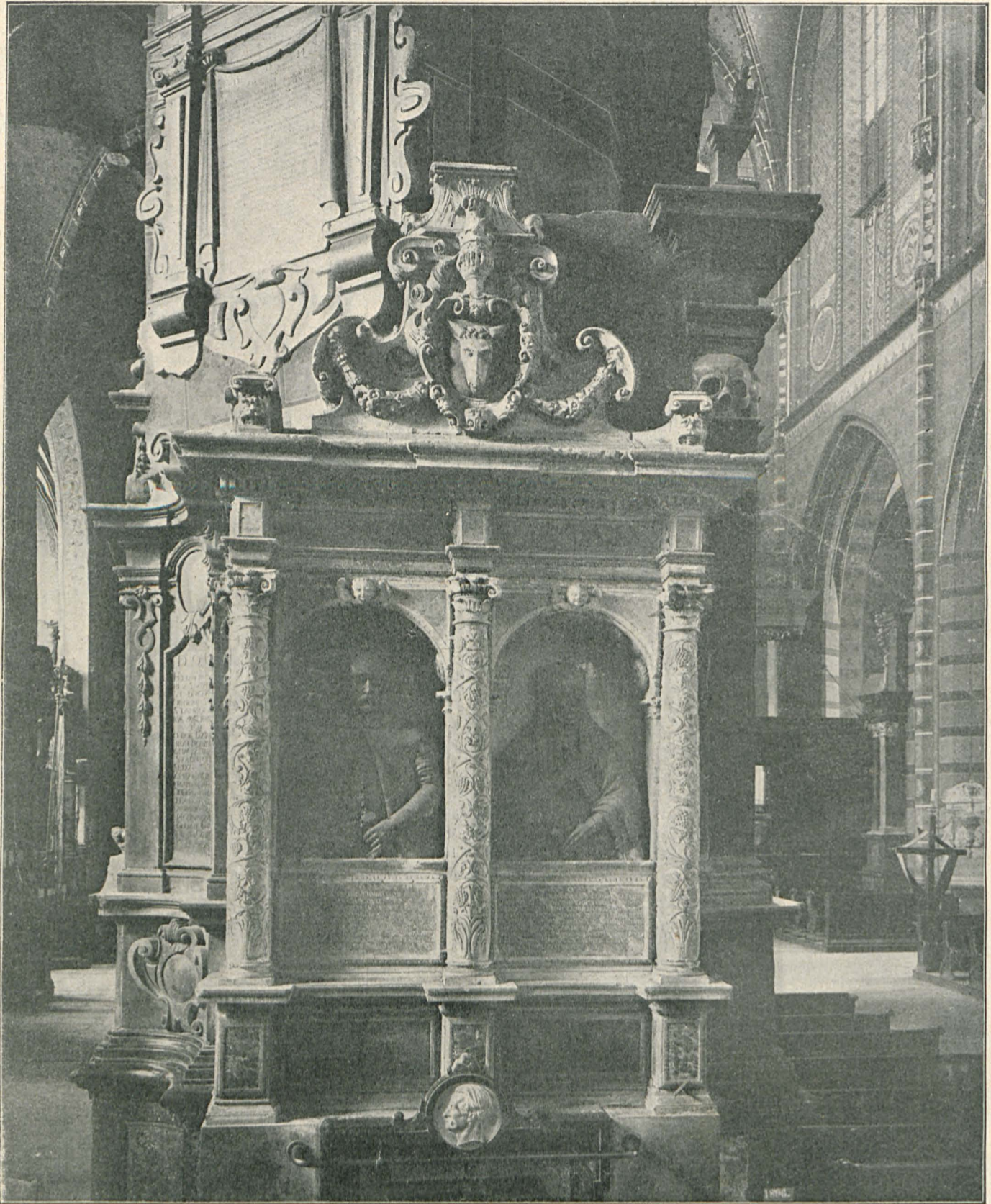
TYGODNIK ILLUSTROWANY



BONEROWIE



Gróbowiec
Marcina i Urszuli
Dobryszowskich.



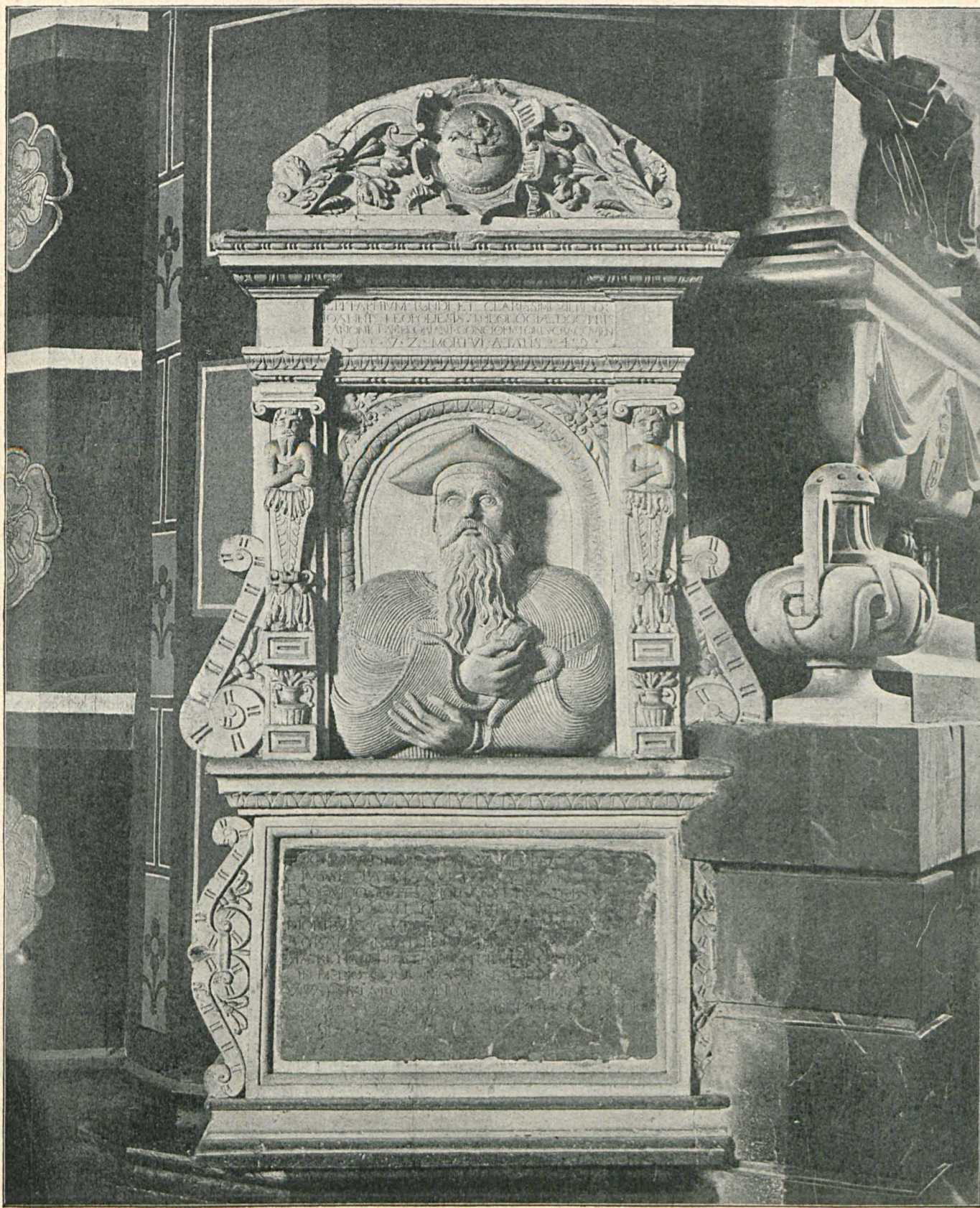
POMNIKI KOŚCIOŁA MARYACKIEGO W KRAKOWIE.

Kościół parafialne, jako utrzymujące więcej styczności z ludnością, niż rzadko, lub przynajmniej krócej, otwarte — zakonne, jako gromadzące wiernych nie tylko w czasie nabożeństw i nauk, lecz i w ważnych chwilach przyjęcia nowego obywatela na łono kościoła, złożenia go na wieczny spoczynek, albo złączenia na wieki małżeńskiej pary, zachowały najczęściej pamiątek z przeszłości, będących świadectwem zarówno hojności i pobożności, jak i obrazem każdorazowego stanu obyczajów, cywilizacji, zamożności, a więcej ochronione świętością miejsca od srogich skutków wojen, przechowały najczęściej zabytków sztuki.

Kościół Maryacki w Krakowie, jako parafia najbogatszej części mieszczaństwa, zamieszkującego rynek, i jako główny kościół miejski, jest też prawdziwym muzeum sztuki i skarbnicą pamiątek mieszczańskich. Sama budowla, wzniesiona z pobożnych fundacji

i datków, upamiętnia imiona największych dobrodziejów, których nagrobki poginęły niestety. Grób pierwotnego fundatora, biskupa *Iwona Odrowąza*, znajduje się gdzieindziej, w prezbiterium kościoła wprowadzonych przez niego do kościoła Św. Trójcy ojców Dominikanów, a sarkofag jego, który do niedawna stał w środku prezbiterium tegoż kościoła, uszkodzony przez pożar r. 1850, zniszczył niestety zupełnie dla braku należytej opieki. Fundator prezbiterium Maryackiego, *Mikołaj Wierzynek*, miał wedle dawnej tradycji nagrobek w temże prezbiterium w ścianie, z łacińskim napisem: „Fundator tego chóru r. p. 1360 w dzień Św. Franciszka w niedzielę stolnik *Wierzynek* umarł“—atoli przy obecnej restauracji mimo odsunięcia stal, zakrywających ściany, nie znaleziono tego nagrobku.

Nawa główna nie miała jednego fundatora, lecz przebudowano ją w XV w. ze składek i zapisów, a budowa trwała dziesiątki lat.



Pomnik
Jana Lwowianina
(Leopoldy).

Równocześnie prawie stawiano wielki ołtarz Stwosza w prezbiterium zamiast dawnego Wierzyrkowego ołtarza, a akta miejskie zachowują liczne nazwiska pobożnych, którzy przeznaczali datki na budowę lub ołtarz „naszej kochanej P. Maryi.“

Z XIV w. nie dochował się żaden nagrobek w Maryackim kościele. Najstarszy, który jest dotychczas tam znany, odkryto przypadkiem w r. 1898 przy restauracji kaplicy Leśniowolskich, gdyż po odjęciu posadzki znaleziono gotycką płytę, będącą tablicą grobową Jana Sybenwirta, mieszczanina krak. z r. 1443. (Występuje on w aktach jako rajca m. w latach 1418 i 1421). Płytę tę podniesiono, tak, że obecnie stanowi część posadzki. Jest więc wprawdzie widzialną, ale spotka ją z czasem los, jaki spotkał inne płyty posadzkowe, t. j. że je tak starto obuwem, iż ani śladu napisu nie pozostało.

Od XVI w. mnożą się nagrobki zarówno wewnątrz, jak zewnątrz kościoła. Średniowieczny obyczaj grzebania parafian znaczniejszych w kościele parafialnym, innych obok niego, nadawał kościołom i cmentarzom inną fizyognomię i inne wywierał wrażenie. Ciągłe

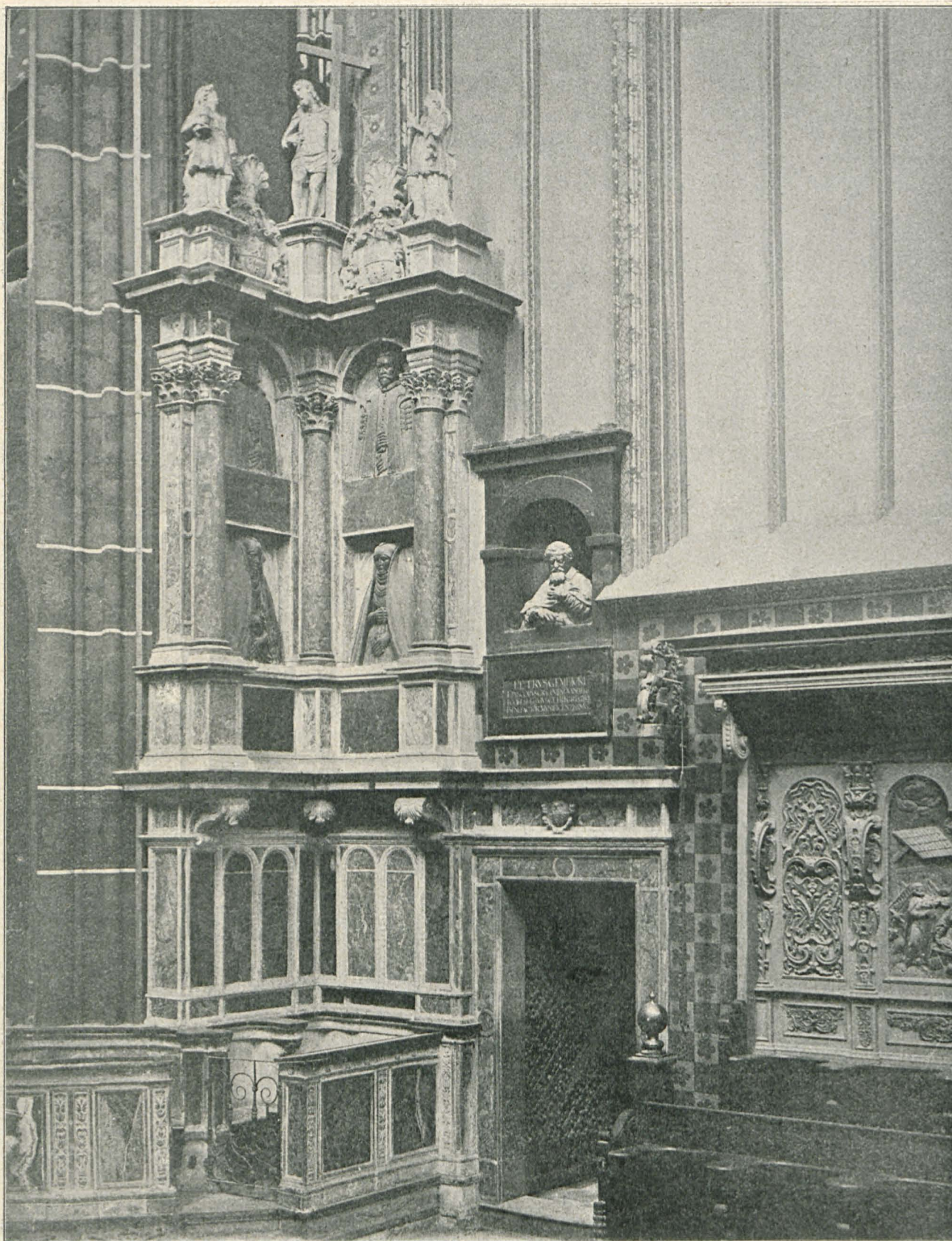
spotkanie się z grobami, koło których musiało się przechodzić, aby wejść do kościoła, widok nagrobków swych przodków, ożywiały pamięć o zmarłych, zgromadzano się też liczniej i częściej na cmentarzu, nie tylko w dzień Zaduszny.

Cmentarze parafialne zdobiono figuralną rzeźbą „Chrystusa na górze Oliwnej“, rzeźbioną męką Chrystusa na krzyżu, czyli tak zwaną Kalwaryą; tu z ambony zewnątrz kazano, tu często odprawiano średniowieczne misterya (widowiska religijno-teatralne) i odbywano publiczne pokuty.

Wciśniona dziś w kostnicę przy kościele Św. Barbary grupa Chrystusa i śpiących apostołów, ogromna kamienna artystyczna rzeźba, była niegdyś owem cmentarnem panoramicznym przedstawieniem Chrystusa na górze Oliwnej, prawdopodobnie w tyle między szkarpami Maryackiego kościoła. Wykończenie figur i wiek tej rzeźby wskazują szkołę Wita Stwosza. Kalwaryą Maryacką był, jak się zdaje, Cudowny P. Jezus kamienny, umieszczony obecnie, od XVII w. począwszy, w ołtarzu prawej nawy.

Cmentarz Maryacki, który zamykał kościół dokoła, był otoczony

Grobowiec ze
stallami Cellarych.



nizkim murem z kilku bramkami, a zniesiony został dopiero w r. 1801; nagrobki i tablice wmurowano w ściany zewnętrzne kościoła Maryackiego i sąsiedniego Św. Barbary.

Być pochowanym w grobach samego kościoła, zwłaszcza Maryackiego, było zaszczytem dozwolonym wybitnym osobom, dobrodziejom kościoła, kaplic, ołtarzy i parafii. Około 200 nagrobków i tablic przypomina dotychczas ich pamięć, jedne skromniej, inne prawdziwie wybitnymi dziełami sztuki ze spiżu i marmuru. Napisy, z wyjątkiem najnowszych, noszą łacińskie. Często osoby w całej postaci, lub w popiersiu, albo medalionie, przypominają rysy zmarłych i są cennym materiałem do dziejów ubiorów.

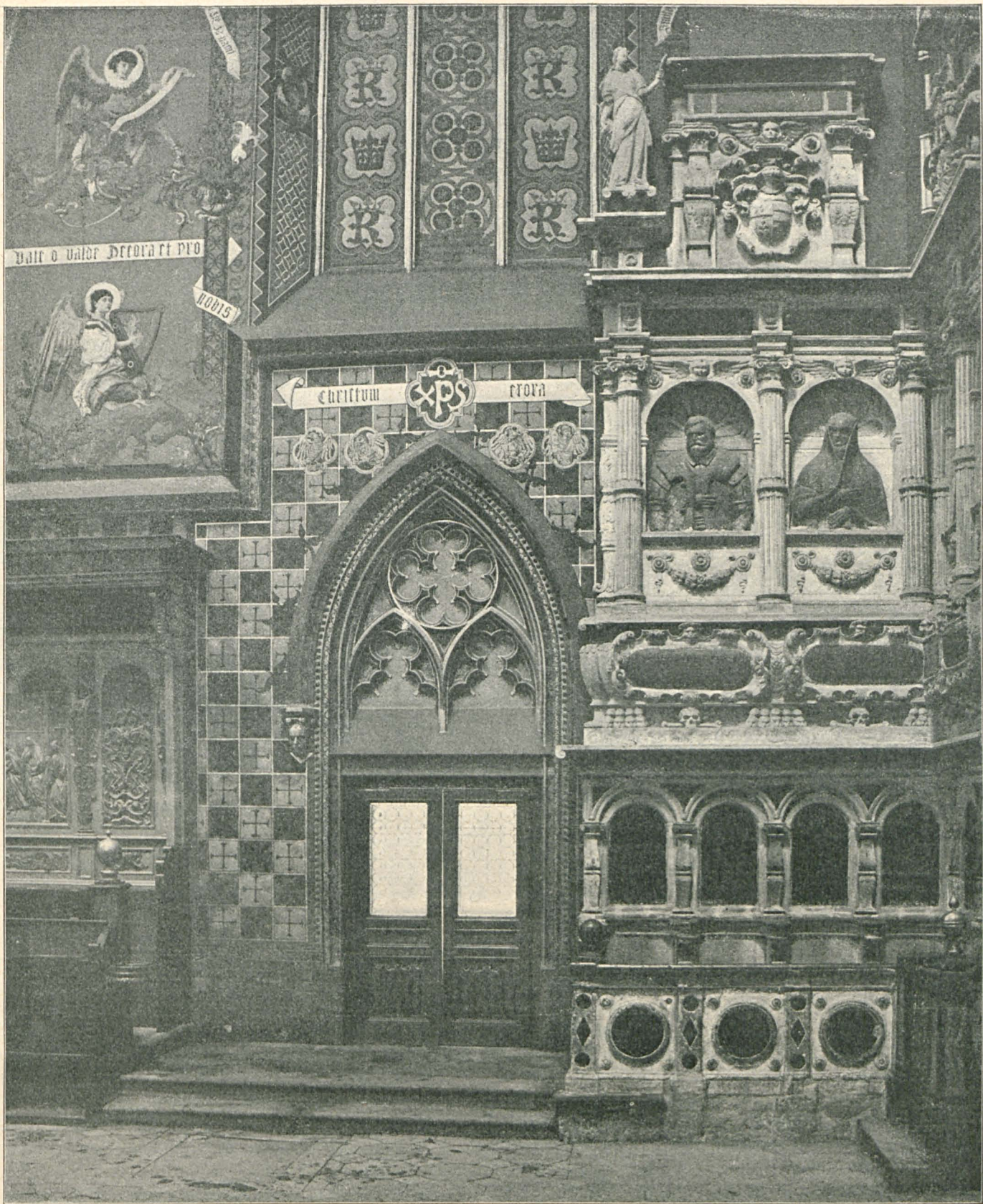
Pomniki zewnętrzne kościoła, wystawione przez tyle lat na działania atmosferyczne, noszą liczne ślady uszkodzeń. Zaczynając wędrowkę archeologiczną od frontu kościoła, spotyka się po lewej stronie mocno zniszczony pomnik jednego z wybitniejszych prawników XVI w., który już wówczas miał rozum i odwagę występować przeciw używaniu tortur w sądzie, a napis powiada: „Bogu Najwyższemu. Janowi Kirstein *Cerazynowi*, wójtowi wyższego prawa magde-

burskiego, mężowi nieskazitelnemu, przyjacielskiemu, doświadczonemu, zaszczyt wszystkim przynoszącemu, Anna Fogelderówna, żalosna małżonka, która żyjącego w wierze, a po zgonie w pobożności naśladowała, najukochańszemu swemu mężowi pomnik ten skropony czułymi łzami położyła 1561 r. 6 czerwca.“

Obok położono w renesansowym obramieniu (architekta Karola Zaremby) ogromną spiżową płaskorzeźbę, wystawiającą *Jana III* na koniu (dłota Piusa Welońskiego), jako przypomnienie owej chwili, gdy przed 200 laty, żegnany przez lud krakowski, wyruszył Jan III z przed tego kościoła dla uratowania Wiednia z rąk Turków.

W północnej ścianie zakrystyi wmurowano w r. 1799 resztki pomnika Schillinga, patrycyusza krakowskiego z XVI w., znalezione przy restauracji jako próg i węgary drzwi, wiodących do skarbcza, a pochodzące z pocięcia tablicy grobowej.

Sam tył kościoła między szkarpami, gdzie niegdyś był Ogrójec, stanowi półkolistą niszę, zaslonioną kratami, wprawionemi w 3 piękne renesansowe kamienne łuki, przedzielone filarami, i przedstawia jakoby kapliczkę, której plecy zajmuje ogromny grobowiec marmu-



Nagrobek
Monteluppich
ze stallami.

rowy Franczkowskiego, Lwowianina, rajcy krak. z XVII w. (data i imię nieczytelne), i jego żony, Barbary Maczelanki, „aby tak jak za życia byli zawsze miłością złączeni, i po śmierci w jednym grobowcu się połączyli.“ Może ta chęć postawienia tu okazałego grobowca spowodowała usunięcie stąd Ogrójca do kostnicy Św. Barbary. Obok duża tablica w pięknym obramieniu stanowi nagrobek Jana Baptisty *Czekiego* (Cechi), szlachezca florenckiego, dziedzica Czajowic. Szeroko podająca w ogólnikowych pochwałach jego przymioty, położona była przez żonę Annę, córkę Antoniego Franczkowskiego.

Obok w szkarpie wmurowany nagrobek z podpisem: „Grób szlachtetnego pana Adama Nagotha, starszego rajcy krakowskiego. Żył lat 81, zmarł w r. 1623,“ a nad tablicą w medalionach głowy, męska i żeńska, w charakterystycznym stroju; zdaje się więc, że brakuje reszty tablicy z napisem, dotyczącym żony Nagotha.

Przy bocznym wejściu, obok kościoła Sw. Barbary, na prawo w niszy w półpostaciach wykute w nagrobku wizerunki małżonków Czepielowskich z XVI w. Na lewo zwraca uwagę wielki nagrobek

w formie jakby ołtarza. Jest to pomnik wielce zasłużonego księdza Jacka Augustyna *Lopackiego*, archiprezbitera Maryackiego w latach 1723—1761, męża wielkiej hojności, który dostatkami swymi tylko na publiczne dobro szafował.

Pomijając drobniejsze tablice, zasługują zewnątrz na wzmiankę dwa innego rodzaju pomniki. U drzwi południowych wiszą z boku na łańcuchach kajdany. Są to tak zwane *kunty*, w które na pośmie-wisko i pokutę zamykano zbrodniarzy za karę i dla odstraszenia innych. Zazwyczaj pokutowali tak drobniejsi winowajcy, czasem i więksi, bądź to w kunach przy drzwiach, bądź to w kapturach żałobnych w przedsionku kościoła. I tak w r. 1599 Jan i Michał Gawrońscy, szlachta, na cmentarzu Maryackim rozruch uczyniwszy, niejakiego Jana Jarzabka, krawca, sługę Hieronima Dębińskiego, z dobytymi szablami napadli, uciekającego w kościele dopadli, poranili i, półżywego zostawiwszy, uciekli, dom Boży krwią splamiwszy. „Aresztowano ich w gospodzie i na ratusz do więzienia odprowadzono, kościół zaś zamknięto i wszelką w nim służbę Bożą odprawić zaniechano. Następnie Jan Spigler i Kacper Okurowski, rajcy krak., a prowizorowie kościoła P. Maryi, zanieśli w ratuszu krak. skargę



Pomnik Seweryna Bethmana.

przeciwko wspomnianym Gawrońskim. Zapadł wyrok śmierci na oskarżonych; za wstawieniem się jednak pełnomocników biskupa krak. i wielu osób temu sądowi obecnych, wyrok surowy śmierci, której nigdy kościół na zbrodniarzach nawet nie dopinał—zmieniono następnie, ażeby przez dni siedm, zaczynając od święta Bożego Ciała, ciż obwinieni w kapturach pokutnych u drzwi kościoła Maryackiego stali, a po skończeniu każdodzienniej pokuty, winni się udać na ratusz do więzienia. Nadto dobrowolnie zobowiązali się, iż przez ojca swojego, Andrzeja Gawrońskiego, złożą do rąk prowizorów kwotę dwu tysięcy złp. na uposażenie sprofanowanego przez siebie kościoła. Po wypełnieniu pokuty przepisanej ze strony obwinionych, sąd na ósmym posiedzeniu w tej sprawie uznał braci Gawrońskich od kary śmierci i więzienia na zawsze wolnych.“

U drzwi bocznych północnych obraz M. Boskiej Łaskawej w kamiennej oprawie przypomina najnieszczęśliwsze chwile Krakowa, gdy morowe powietrze w r. 1707 do 1709 pochłonęło 20,000 ludności. Na podziękowanie za wygaśnięcie tej zarazy ufundowano ten obraz w r. 1709.

Najwspanialsze pomniki mieszczą się jednak we wnętrzu kościoła, częścią bronzowe, przeważnie marmurowe. Rodzina *Salomonów* posiada trzy bronzowe: najpiękniejszą jest płyta nagrobkowa Piotra Salomona, rajcy krak., zm. 1516 r., 2.8 m. wysoka, 1.70 m. szeroka, w ścianie na prawo od wielkiego ołtarza, wyobrażająca w płaskorzeźbie męża w zbroi, okrytego szubą, wspartego na mieczu, a wokół, jakby ramy, obiega łaćniński napis gotyckimi literami, opiewający:

„Tu spoczywa szlachetny mąż pan Piotr Salomon z Benedyktowic, rajca krakowski, zmarł r. P. 1516, którego dusza niech spoczywa w pokoju.“ Artystyczne wykonanie tej płyty rodzi przypuszczenie, że autorem jej jest sławny *Vischer* Piotr (1455—1529), którego dziełami chlubi się Norymberga, Wrocław, oraz kościół katedralny i dominikański w Krakowie. Obok mieści się druga podobna starsza płyta bronzowa, której brak napisu; postać rycerza nie

jest tu rzeźbiona, lecz grawirowana, a herb Salomonów, Łabędź, umieszczony także na płycie poprzedniej, wskazuje, że jest to grobowiec także jednego z członków rodziny Salomonów. Wreszcie w kaplicy Bonerów znajduje się trzecia podobnie grawirowana płyta z napisem w okole: „R. P. 1504, w sam dzień Św. Marka zmarł urodzony i szlachetny pan Emeram Salomon, starosta i żupnik Drohobycki, mieszczanin krakowski, módlcie się za niego.“ Dwie ostatnie płyty są nieco starte, gdyż pierwiej były umieszczone w kaplicy Salomonów (pierwszej na prawo, w wieży niższej). Zamówienie takich artystycznych nagrobków z kosztownego metalu świadczy nie tylko o majątku i wdzięcznej pamięci o zmarłych, lecz i o wielkiem poczuciu artystycznym mieszczaństwa XV i XVI wieku. Salomonowie, wspominani już w aktach z początku XIV w., posiadali w XV w. w Rynku dom zwany mennicą, który po r. 1472 odstąpili zięciowi Piotra, Pawłowi Kaufmanowi, fundatorowi pięknej kaplicy na piętrze wieży niższej (1522), zwanej dziś kaplicą Monteluppich, od nazwiska późniejszych dobroczyńców tej kaplicy. Do Salomonów też należała znana powszechnie kamienica w Rynku, zwana „szarą.“

Piotr, uwieczniony na płycie *Vischera*, był koło r. 1500 jednym z burmistrzów krak. (Dawniej wybierano z pośród rajców 8 burmistrzów, którzy kolejno po 6 tygodni urzędowali). Fundował on 2 ołtarze w kościele Maryackim i uposażył tu psalteryę legatem 5,000 złp.

Zostawił 3 synów, którzy w r. 1525 zrobili dział majątku; jeden z nich był kanonikiem i archidyakonem katedry krak., a zapisał się dobrze w pamięci przyczynieniem się do ukończenia wieży kapitulnej i zegarowej na Wawelu. Linia męska Salomonów wygasła w końcu XVI w. na Mikołaju. Z dóbr ziemskich posiadali Modlnicę i Benedyktowice.

W kaplicy Salomonów, z której ich nagrobki przeniesiono w miejsca lepiej oświetlone, znajduje się późniejszy, piękny spiżowy nagrobek z napisem: „Tu leży szlachetny pan Erazm *Danigiel*, dziedzic Mydlnik, który zmarł r. P. 1624.“ Autor płyty zaznaczył się



Płyta bronzowa Erazma Danigiela.

napisem: „Jacob Wein. (Weinhold?) Man. V. N.“ W archiwum miejskim znajduje się testament tegoż Danigiela, w którym kazał się pochować w kaplicy Salomonów, mieniając Piotra Salomona swoim pradziadem, a o kaplicy tej pisze, jako „o kaplicy mojej, gdzie przodkowie moi leżą.“ Zrobił on legaty pobożne, a przepisał sobie pogrzeb skromny z dodatkiem tylko „szabla niech będzie na marach i herbów sześć.“ Uposażył oltarz M. Boskiej Częstochowskiej w tejże kaplicy.

Niesiecki wywodzi Danigiela ze szlachty węgierskiej czy czeskiej, nobilitowanej jeszcze w XV w.

Dwa jeszcze bronzowe wspaniałe pomniki kryją się w ciemnym stosunkowo miejscu pod oknem kaplicy *Bonerów*; nie są to już płyty, lecz prawdziwe okazałe monumenty, wyobrażone na karcie tytułowej niniejszego artykułu. Między renesansowymi filarami w silnym zagłębieniu plastycznie wyrzeźbiona postać rycerza, opartego jedną ręką na lancy, drugą na mieczu, na jednym monumencie; na drugim podobnym monumencie—postać niewieścia z założonymi nad różańcem rękoma w charakterystycznym stroju. Napisy nad głowami objaśniają, że nagrobek pierwszy poświęcony Sewerynowi Bonerowi, kasztelanowi Bieckiemu, staroście ojcowskiemu, żupnikowi, burgrabi i wielkorządcy krak., który sam za życia sobie w r. 1538 postawił nagrobek ten kazał (zmarł r. 1549), drugi—żonę jego Zofię z Bethmanów, zmarłej r. 1532.

Bonerowie i *Bethmanowie* to najznakomitsi patrycyusze krakowscy. Zasługi Jana Bonera szczególnie na polu sztuki mają znaczenie epokowe w Polsce. *Seweryn Bethman*, ojciec Zofii, uratował w r. 1509 kaplicę w Wieliczce od pożaru. Prawdopodobnie jego to nagrobek marmurowy w ścianie na prawo od wielkiego oltarza, obok na ilustracji wyobrażony, nie mający napisu, ale z herbem Bethmanów, widocznym na monumencie Zofii z Bethmanów Bończo-

wej. Jedni i drudzy mieli kamienice w Rynku krak., od ich nazwisk nazwane (Nr. 42 i 44).

Z licznych *marmurowych* pomników do najpiękniejszych należą: wyżej wymieniony Bethmanowski, kasztelana Marcina Leśniowolskiego w kaplicy tego nazwiska, a w nawie główne grobowce *Monteluppich* i *Cellarych*, wspaniałe dzieła stylu odrodzenia, zaopatrzone u dołu w ławki marmurowe do modlitwy.

Monteluppiowie de Mari, spolszczeni na Wilczogórskich, pochodzili z Florencji, posiadali w rynku dom (nr. 7), gdzie też w r. 1583 mieścił się pierwszy w Polsce urząd pocztowy, założony przez Sebastjana Monteluppiego. Według umowy, zatwierdzonej przez Stefana Batorego, Sebastjan z siostrzeńcem swym Walerym wysyłali gońców i listy aż do Wenecji za rocznym wynagrodzeniem 1,000 złp., płatnem z kasy celnej. W tym celu utrzymywali konie po stacyach, aby posłańcy dwa razy na miesiąc, każdy w 15 dniach mogli przebyć tę przestrzeń tam i napowrót, zostawiając i odbierając po drodze listy, za które płacono w Krakowie bez względu na odległość po 4 grosze (około 25 kop.) za uncję.

Grobowiec Maryacki wystawił Sebastjan za życia swego, (którego w r. 1600 dokonał), a napisy wymieniają po kolei członków jego rodziny, tu spoczywających.

Podobny jest po przeciwnej stronie stojący grobowiec *Cellarych*, rodziny medyolańskiej, zasłużonej dla miasta i dobroczynnością dla kościoła. Wymieniony w napisach grobowych *Paweł* był rajcą miejskim i przeznaczył 10,000 złp. na ufundowanie muzyki w kościele Maryackim. Jego syn, również *Paweł*, został generałem wojsk autoramentu cudzoziemskiego w Polsce i nobilitowany; drugi syn *Andrzej* wydał w r. 1659 w Amsterdamie „*Descriptio Poloniae*.“ Zapewne tegoż *Andrzeja* córką była *Barbara*, którą na cmentarzu Maryackim w r. 1614 spotkała romantyczna przygoda, opisana w następujących słowach przez ks. Wielewickiego:



Wejście boczne do kościoła Panny Maryi z nagrobkami patrycyuszów miejskich.

„Gdy Barbara Cellari, córka mieszczanina Andrzeja Cellarego z matką wychodziła z kościoła św. Barbary, porwał ją niejaki p. Sokół, zbrojnie zastąpiwszy jej drogę, wsadził do powozu z jedną służącą i wywiózł za miasto. Matka jej z siostrą udały się powozem w pogoń i dogoniły ją w Działoszycach. P. Sokół oświadczył na perswazyę, że odda córkę i z niemi powróci do Krakowa, gdy jednak nawrócili, skreśliwszy nagle w bok z Barbarą i służącą, zniknął z oczu matce. Ale Barbara wzbraniała się iść do ślubu. Sokół spodziewał się ją zmiękczyć i uczciwie koło niej nadskakiwał, tymczasem zostawił ją w domu niejakiego p. Bogusławskiego, „męża pobożnego i roztropnego,“ zabawiając ją muzyką i tańcami.

„Skorzystawszy z chwili, Barbara porozumiała się z p. Bogusławskim, obiecując wyjść za mąż za niego, jeżeli ją od Sokoła uwolni. P. Bogusławski, „mąż pobożny i roztropny,“ nie był głuchy, zabrał w nocy Barbarę ze służącą do powozu i przywiózł rodzicom, którzy na małżeństwo zezwolili, a p. Sokół długo jeszcze był nieprzyjaznego ducha dla pp. Bogusławskiego i Cellarego i wiele intrygował, ale napróżno.“

Podobny stylem do powyższych jest, jak to widać z załączonych ilustracji, piękny grobowiec Marcina Łysika *Dobryszowskiego*, burgrabiego krak., zmarłego w r. 1613, wystawiony również za życia przez niego, i żony jego, *Urszuli z Lipnickich*, zmarłej r. 1596.

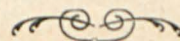
Mniej okazały jest pomnik zasłużonego tłumacza Biblii, Jana Leopoldy. Napis na nim w języku łacińskim, częścią prozą, częścią wierszem umieszczony, opiewa: „Grobowiec Wielkiego i Sławnego Męża Jana Lwówianina Teologii doktora Kanonika Św. Floryana Kaznodziei krak. Roku 1572 zmarłego w wieku 49.“

Jak oddawna w tym kościele chowano i upamiętniano nazwiska najzasłużeńszych, tak i obecnie w tym kościele położyło miasto pomnik wielkiemu *Janowi Matejce* w prawej nawie naprzeciw Cudownego P. Jezusa, dłota Godebskiego; bronzowe popiersie Matejki wieńczy z lewej strony geniusz, z prawej stoi zasmucony geniusz sztuki, trzymając w ręku paletę i pendzle. Napis opiewa: „Pamięci Jana Matejki, urodzonego 30 lipca r. P. 1838, zmarłego d. 1 listopada 1893 Rada Miasta Krakowa pomnik ten położyła w r. P. 1897. Wielki malarz i obywatel, z podniosłej duszy i gorącego serca potężne czerpał natchnienia, uświetnił przeszłość i imię Narodu. Życiem, pracą, modlitwą służył Bogu i krajowi.“

Drugim obok Matejki zasłużonym dla tego kościoła był ś. p. Paweł Popiel, niezmiernie nad restauracją pomników wielkiego ołtarza i kościoła pracujący. Pamięć jego uczczono płytą brązową, obok północnego wejścia umieszczoną, dłota P. Welońskiego, wystawiającą Popiela w całej postaci w wypukłości.

Setki lat stoi Maryacki kościół, ochroniony od uszkodzeń mimo burz, pożarów i wojen, gromadząc wiernych na modlitwę, przechowując ich pamięć w pomnikach i znajdując dotychczas zawsze dobrodziejów, otaczających opieką dawne zabytki. Wobec coraz większego zrozumienia wartości cywilizacyjnej w zachowywaniu dawnych zabytków, można mieć pewną nadzieję, że i w przyszłości nie zbraknie opiekunów, którzy dbać będą o ochronę tej katedry mieszczkańskiej i jej pomników dla potomności.

DR. KLEMENS BĄKOWSKI.





Grobowiec patrycyuszów miejskich przy stronie wschodniej.

Adam Krechowiecki.

F I A T L U X!

OBRAZ HISTORYCZNY Z CZASÓW JADWIGI I JAGIEŁŁY.

22.)

Nieżwłocznie też wydano hasła i rozkazy, aby się gromadziły poczty zbrojne. I stanęły liczne a piękne chorągwie panów z Kurozwęk, i panów z Tarnowa, i panów z Tęczyna, i panów z Szubina, i panów Szczekocich, i pana Krystyna z Ostrowa, i jedna z najpiękniejszych pana Spytkowa. Wszystko to pod naczelną wodzą promieniejącej zapałem i śmiałością królowej Jadwigi. Odrazu pierzchły z jej duszy wszelakie troski i myśli gnębiące. Po raz pierwszy od posłubienia Jagiełły śmiały się jej usta i jaśniały radością oczy, gdy na czele tych hufców, na pięknym rumaku, w lekkiej zbroi i płaszczu sobolowym, wyjeżdżała z Krakowa, wśród pełnych zachwyty okrzyków gromadzącego się na jej drodze ludu.

— Dzielna, święta pani nasza!—wołano.

A wszystkie te zachwyty i okrzyki chłoneła Jadwiga w duszę; czując zaś, jako ją otacza miłość powszechna, rozpromieniła się dawno nie doznawanem szczęściem, które z całym narodem podzielać pragnęła. Na okrzyki przeto odpowiadała skinieniem głowy i tak czarującym uśmiechem, że zapał coraz się wzmagał, łącząc wszystkie wołania i błogosławieństwa w jeden jakby tryumfalny chór.

Ona zaś czuła, jako idzie śladem wielkiego swego praojca, że uciśnionej przez obcych, a niszczonej nieraz litewskimi i tatarskimi najazdami, krainie, niesie utraconą swobodę i dawny blask, swemu zaś narodowi otwiera nową drogę do znaczenia i sławy, I czuła, że taka sama miłość, jaka tu naprzeciw niej wybiega, błogosławiąc, spotka ją także u wrót tamtych grodów, podniesionych

i umocnionych pieczołowitą prawicą Kazimierza Wielkiego, którego mądre dzieło ona dalej prowadzić chce i za łaską Bożą dopełni.

Tym razem nie brała z sobą królowa całego swego niewieściego orszaku; towarzyszyła jej tylko ochmistrzyni i dwie starsze panie dworskie; ostała zaś znużona litewską wyprawą i niemocna Reginka, a ostała także i Elżbietka Spytkowa.

— Na Litwę — rzekła małżonkowi —jechać byłabym rada, ale owych ponurych grodów, kędy małym z tęsknicy nie umarła, gdy mnie w nich rodzic więził, widzieć nie chcę.

Spytko nastawać nie śmiał, a królowa, iżby niepokój jego umniejszyć, Elżbietce zaś osamotnienie lżejszem uczynić, poleciła jej w zamku zamieszkać i straż poruczyła nad

Płyta bronzowa
Piotra Salomona.



pozostającym dworem niewieścim. Elżbietka przyjęła to rada, zwłaszcza, że wśród tego dworu była jedna węgierska dominicella, Gallga nazwiskiem, z którą ona zdawna, jeszcze na budzińskim dworze, przyjaźń miała. Gallga owa, starsza od Elżbietki wiekiem, a mniej urodziwa, chociaż dorodna, była zalotna wielce a lubiąca wesołość, zwłaszcza zaś wszelakie przygody miłosne mocno ją zajmowały. Nie było dla niej większej uciechy, niż badać takie serdeczne sprawy, niby koić je i łagodzić, a w rzeczywistości drażnić, podniecać i wikłać.

Toż zaraz po wyjeździe Jadwigi, zaczęły się między nią a Elżbietką szepty i długie w noc rozmowy, w których małżonka Spytkowa niebawem wyznała, jaka ją trapi tęsknica, że pan z Melsztyna, jakkolwiek urodziwy i młody, stał się jej niemiłym, a myśl

wraca uparcie do tego, którego dobrowolnie się wyrzekła, do Jana z Münsterberga, który nie był ani tak młody, ani tak urodziwy, ale miał oczy ogniste.

— Powiedz—pytała:—co to znaczy i jaka na to rada?

A Gallga, patrząc na nią swemi czarnymi, świdrującymi oczkami, roześmiała się w głos.

— Ty nie wiesz?—zawołała—A toć rzecz jasna... Niemiłym ci się stał pan Spytko, bo kochanie twoje to ów książe Zambickiej ziemi...

Elżbietka zbladła, a potem płomień na jej twarz buchnęły. Po raz pierwszy postyszała to wyraźnie i głośno, co jej w skrytości oddawna powtarzało serce, a wyrzucało sumienie. Dreszcz ją przeszedł od stóp do głowy.

— Zamilecz... zamilecz!—prosiła.—To być nie może... to być nie powinno!

Gallga śmiała się ciągle, szczerząc białe zęby.

— Nie powinno!...—powtórzyła:—a to jest puste słowo!.. Kochanie nie zna prawa... Ty zaś zmarniejesz, jak woli nie dasz sercu... Ty się zmuszasz nie myśleć o nim, a myśl coraz uparciej powraca... Więc myśli nie krępuj, a może osłabnie...

— Boże... Boże!—wołała Elżbietka, ręce łamiąc—co poradzę?

— Znalazłaby się porada, — szepnęła Gallga — gdyby ten twój książe był tutaj... Tak samo jak z myślą, tak samo może byłoby i z nim... Zbladłoby ten urok, który na cię cisnął, gdybyś go zblizka znowu ujrzała...

— O, ja go widzieć nie chcę!... nigdy!—przerwała z mocą Elżbietka.



Płyta bronzowa
jednego z Salomonów.

Gallga ramiona dźwignęła.

— Chciej, czy nie chciej, a widzieć będziesz go zawsze, jeśli nie oczyma, to myślą, co gorzej jest...

I nie ustawała w takich z Elżbietką rozmowach, to prawiąc jej sama o zambiickim księżęciu, jako wspaniały był, a nieszczęśliwym być musiał, to wypytyując się ją o pierwsze dzieje tego kochania, kiedy to Jadwiga Wilhelmowi, a Elżbietka owemu Janowi z Münsterberga przyrzeczone były w małżeństwo.

— Niech tam sobie gadają,—dodała—że takie ślubowanie nie ważne. Ja temu nie uwierzę, bo oto widzę, jako i królowa, i ty, za złamanie owego przyrzeczenia karę ponosicie i nieszczęśliwie jesteście... Ona tak samo, jak ty, przywiązać myśli do małżonka, a oderwać jej od tamtego nie może...

I tu szczegółowo opowiadać zaczęła o niesnaskach między Jadwigą a królem, potem zaś o własnych dawniejszych przygodach, w czym było więcej zmyślenia, niż prawdy, tyle jednak w opowiadaniu żywości i porywu, że Elżbietka słuchała z zapartym oddechem i bijącym sercem. Rozmowy takie stały się dla niej rozkoszą, a coraz głębiej wnikały trucizną w jej niespokojną, ale dotychczas niewinną duszę. Zwłaszcza zajmowały ją opowieści o niesnaskach królewskich, o których Elżbietka niewiele dotychczas wiedziała, a mniemać mogła, że już całkowicie uśmierzone są. To, co jej teraz zręczna dworka mówiła, było jakby odbiciem jej własnego pożycia i myśli. Jadwiga, ta dzielna i święta, tak samo cierpiała, tak samo wahała się, jak ona... Czyżby rzeczywiście była to kara za złamanie ślubowania dawnego? czyżby to

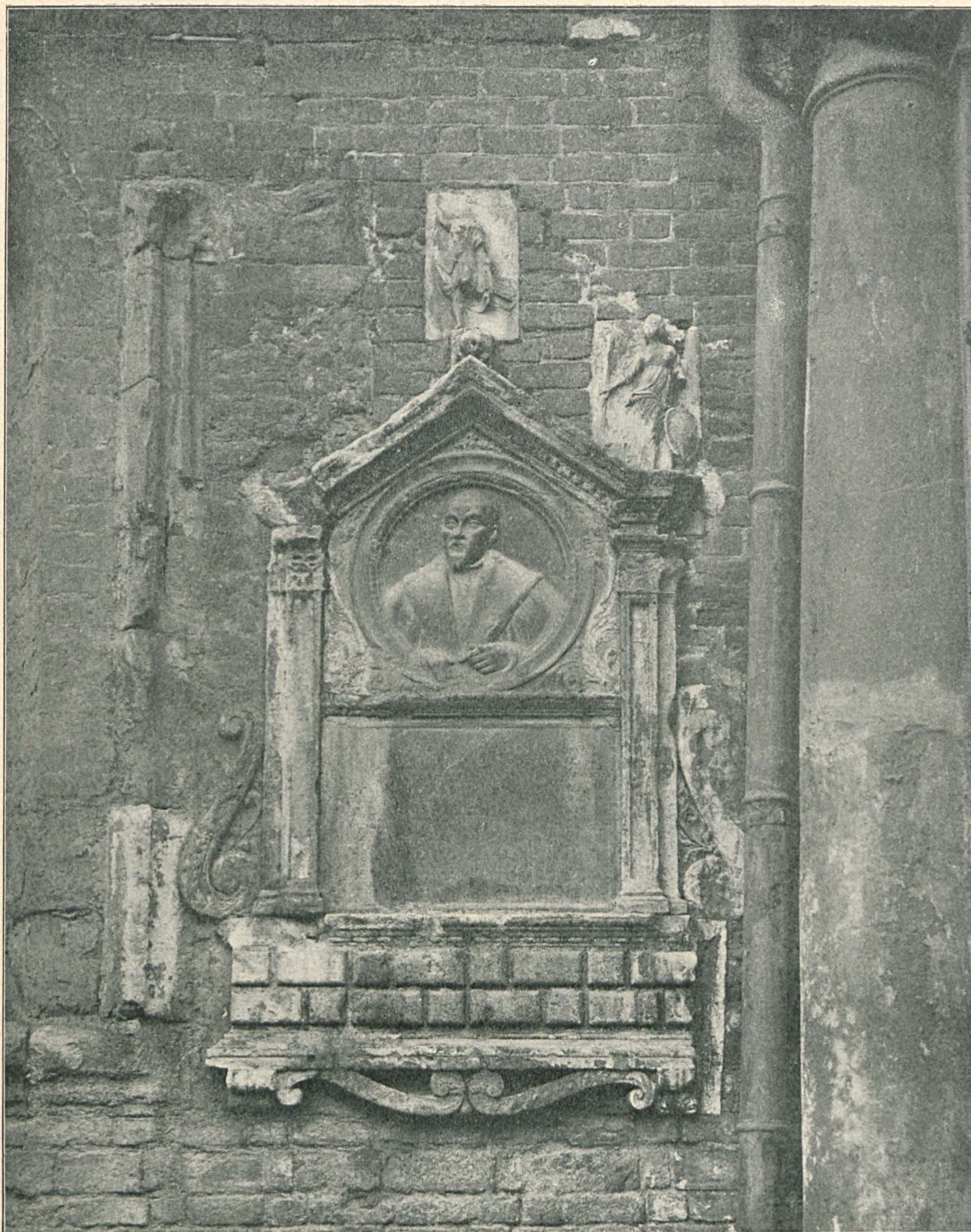
dawne było jedynie ważne, a to drugie może występne i godne kary? Takie myśli przepełniały teraz głowę Elżbietki, wywołując w duszy coraz wyraźniejszy, coraz bardziej pociągający obraz wzgardzonego niegdyś księcia.

A tymczasem na Litwie, po odjeździe królowej, coraz większe łaski Jagielly zdobywał sobie Gniewosz, tak, że to już nawet innych panów niepokoić zaczęło. On jednak umiał sobie radzić i wszystkich niechętnych od boku królewskiego oddalał, największy zaś posłuch znajdował na łowach, w których zarówno jak król wytrwałym był i ani na krok go nie odstępował.

Wnet po wyjeździe Jadwigi, król mocno niepokoić się począł i już żałował, że jej nie wstrzymał.

— Nie rozumiem, — mówił do Gniewo-

Nagrobek
J Kirszteina
(Cerażyna).



—sza—po co był ten pośpiech... Przecież trudno przypuścić, iżby owa chłosta... Litwini do takiej, jak zowią, fałagi przywykli, i ona jedna im pomaga... Nie rozumiem przeto...

Patrzył na Gniewosza badawczo, ale ten milczał, jeno głowę chylił w zakłopotaniu, które nie uszło uwagi króla. Zabłyśły mu oczy, i do pana z Dalewic przyskoczył.

— Ty może wiesz co? — zawołał — tyś obyczaju królowej bardziej ode mnie świadom, to snadniej ci pojąć, dlaczego ujechała?...

Gniewosz ramionami dźwignął i odparł chwiejnie, nie podnosząc wzroku:

— Nie wiem nic... nie rozumiem...

— A! — krzyknął Jagiełło — mówić nie chcesz!... boś ty jej, królowej, powiernik dawny, Wilhelmów przyjaciel!... Mnie zaś odkryć nie chcesz!...

Gniewosz za kolana go ujął.

— Królu miłościwy!—zawołał—nie zataję, żem był Wilhelmowi przyjacielem, toć powszechnie wiadomo; alem teraz ciebie, panie, umiłował i wiernym jest, jak pies...

— Więc mów!

— Bogu przysięgam, jako nie wiem nic... domyślać się jeno mogę, że nie sama owa chłosta była powodem wyjazdu... Ale to są niebezpieczne domysły...

Władysław za ramię go pochwycił i, patrząc na niego wyiskrzonym wzrokiem, cisnął mocno.

— Nie dręcz ty mnie, Gniewoszu,—prosił niemal—a powiedz wszystko, choćby jeno to były domysły... Bo ja domyślam się, że królowa coraz bardziej tęskni...

Pan z Dalewic głową potakiwał.

— Tak... — rzekł po chwili — tęskni, to

widoczna... Kraków jest jej zawsze najmiłszy, bo tam...

— Co tam? — krzyknął Jagiełło, gdy Gniewosz na tem słowie utknął. I nagłym ruchem odwrócił się od niego plecami, jakby się wstydział bladeści, która mu twarz pokryła.

— Cóż tam?...—powtórzył ciszej.

A pan Gniewosz mówił zwolna, przerywając, nie kończąc zdań:

— Tam... wspomnienia miłe... które królowa odświeżać lubi... I do OO. Franciszkanów chadza... a przed wyjazdem sam widziałem, jako szła z orszakiem pod Mornsteinową gospodę; szła zwolna i... patrzała... Gospoda nędzna... patrzeć niema na co... jeno wspomnienia... Tak samo w Czarnej wsi, kędy jeździła ujrzyć ową chałupę, w której mieszkał Wil...



Nagrobek Clepielowskich.

Nie dokończył. Jagiello znów odwrócił się ku niemu. Twarz jego pałała, oczy ciskały zielonawe błyski.

— Tak! — zawołał — tak, wspomnienia, żywe i najmilejsze!...

Począł biegać po komnacie wzburzony. Znał przystanął.

— A! a!... — ozwał się zdławionym głosem—gdyby teraz, gdy ja tu Litwę chrzczę... gdyby tam, do Krakowa, Wilhelm przybył... zemścić się!...

Pan z Dalewic uspokajać począł:

— Nie przypuszczajcie tego, miłościwy panie, nie przypuszczajcie... — mówił. — Pani Jadwiga święta jest!...

Ale czynił to tak niepewnym, wahającym się tonem, że jeszcze gorszy niepokój budził.

— Święta... święta... — powtarzał król — zawsze trzeba strzedz!...

Zwolna teraz przechadzał się po komnacie, zamyślony, i znowu zatrzymał się przed Gniewoszem.

— Słuchaj, miły mój—rzekł:—zali chcesz dać mi dowód wierności?

— Rozkazujcie, królu!...

Jagiello mówił zwolna, patrząc bystro w twarz Gniewosza:

— Sam stąd ujechać nie mogę... dokończyć chcę rozpoczętego dzieła... A tam, przy królowej nie mam nikogo, któryby moich spraw strzegł... Jeden Spytko, ale ten swoją Elżbietką zajęty, na nic innego baczenia nie daje... Ty, gdybyś mi wiernym chciał być... ty, mógłbyś do Krakowa jechać i tam czujną straż mieć, zali tam obcych jakich nie ma... Tutaj do mnie gońców byś zaraz słał i o wszystkim, co się tam dzieje, donosił!...

Nie było snadź dogodne to poselstwo Gniewoszowi, czy też większe korzyści osiągnąć chciał, bo zrazu wymawiać się począł, przedstawiając, jako on do takich spraw sposobny nie był, lękał się przy tem łaskę królowej, która mu zdawna ufa, utracić, gdyby się ta jego straż wydała; wreszcie, dodał, iż ubogi jest... tu, przy królu i z jego łaski wyżyć może, ale w Krakowie trudno... Ma on wprawdzie w dzierżeniu majątność Sucha w Krakowskiej ziemi, ale utrzymać się przy niej nie może i radby ją zbyć... jeno tego bez zezwolenia króla nie może uczynić... Za ustąpienie dawano mu nawet sporo grosza, bo aż ośmset grzywien... i gdyby król pozwolił!...

— Ochotnie! — zawołał Jagiello — zezwa-

lam. I nawet dobrze tak: ty, niby ową majątność pozbywając przybędziesz, a zaś nie miej lęku, iżby królowa o tem, co ci poruczam, wiadomość powzięła. Jedź więc, miły mój, a bystro na wszystko patrz... ja zaś za wierność wdzięcznym być potrafię... Nie mi nie cię nagroda!...

I tak się stało, że wkrótce po wyruszeniu Jadwigi na Ruś Czerwoną, przybył pan z Dalewic do Krakowa razem z Pawłem Gryfitą. Zdumiał się on wielce, dowiedziawszy się o tej wyprawie, i do Gryfity rzekł:

— Mądra to znów jest sprawa tutajszych panów Dobiesławów i Spytków, którzy całą zagarnęli władzę... Oni nie ufają Jagielle, więc królowę wzięli z sobą, iżby ona wszystkie grody niby dla Korony, w rzeczywistości zaś dla nich pozyskała. Nim Jagiello wróci, oni już wszystko w dzierżeniu będą mieli!... Ja muszę tam iść!...

Gryfita szydersko się zaśmiał.

— Cha! cha! iżby wziąć udział swój!... Dobra myśl dla ciebie, ale i dla mnie się przyda!... Ja także tam pójde!...

Pan z Dalewic ogromnie się oburzył.

— Ty, — zawołał — jeśli chcesz jaką nagrodę mieć, to musisz wnet z powrotem do Wilna, iżby Jagielle dać znać, co się tu sta-

ło, jako w jego nieobecności i bez jego wiedzy wyprawy rycerskie pod wodzą królowej czynią...

Ale Gryfita ciągle szydersko się śmiał.

— Ty mnie znowu za tak głupiego nie miej...—mówił.—Ja z tobą wszędy, czynię to samo co i ty, a nie mam nic, ty zaś wszystko zagarniasz.

— Com zagarnął? — krzyknął Gniewosz.

— Tylko zwolna i bez krzyku... — przerwał Szczukowski: — mój Gryf całe się tego nie lęka, a bystre oko i dobry słuch ma. Jużes teraz zhardział, a radbyś wszystko tak posiąść, jak i Wilhelmowe skarby...

Pan z Dalewic zbladł; oczy poczęły ciskać płowe błyski gniewu, a on uczynił taki ruch, jakby na Gryfitę rzucić się miał, ale wnet zmiarkował się i, ręką machnąwszy, odparł spokojnie:

— Troje niewidy bajesz! Gryfowi twe-mu przewróciło się we łbie... Jakie Wilhelmowe skarby? Dał mi był pierścień Jadwigi, tom go w darze koronacyjnym złożył...

— Chciałbym mieć choć połowę tego, co w twoim mieszkaniu zostało... Ale mniejsza! Jeżeli ten książę rakuski tak głupi był, że tobie skarby powierzył, to jego sprawa... Moja rzecz zaś jest nie dać się dłużej krzywdzić... Na Ruś potrafię ja pójść sam i swoją część wziąć... potrafię też i pani Jadwidze powiedzieć, z czem ciebie tu Jagiełło przysłał, i jaką ty teraz służbę pełnisz... a naówczas jeszcze i twoją część ona mi przyda...

Gniewosz zębami zgrzytnął, pięści zaciskał i cały wściekłą złością wrzał, tak, że na te słowa Gryfity nie od razu odpowiedzieć zdołał. Dostrzegając on już w Wilnie, że Gryfita chmurzy się, i przeczuwał, jako wkrótce o swój dział upominać się zacznie; przerażała go też niemało myśl, że powiernik jego i towarzysz grozić mu może zdradą, którejby dopełnił snadnie, gdyby zadowolenia nie miał. Tedy, po chwili opanowawszy się, rzekł:

— Złe to jest, mój Gryfity, że dwaj przyjaciele, którzy cel swój spolem osiągnąć mają, różnią się i wadzą, gdy już celu blizcy...

— Ja mego nie widzę... — wtrącił Gryfita zły.

— Jak to nie widzisz? — przerwał żywo Gniewosz.—Odsunęli nas różni Leliwici i Toporecykowie, naszego Wilhelma i nas wyrzucili precz, w pogardę dali... i obrali sobie takiego króla, z którym czynią co chcą... Tedy my musim spolem iść, aby to zwalczyć i pomstę a nagrodę wziąć...

— Dotychczas ty sam ją tylko bierziesz...

— Bajesz! Nie przepomniałem ja o tobie, jeno cierpliwość miej... Iżby łaski króla zdobyć, a królowej zaufanie dawne odzyskać, iżby owych Spytków a Dobiesławów, którzy całą zagarniają władzę, osłabić i usunąć, a stanąć na ich miejscu, na to czasu potrzeba.

— Nie gadaj wiele! — przerwał Gryfita.—Ja cię już nie puszcę... Dziel się ze mną napoly... albo sam pójde.

Gniewosz ręce załamał.

— Niedarmo to powiadają, — ozwał się żałośnie — jako Bóg człeka drugim człkiem karze... Tyś jest gorszy niż wróg, Gryfity! Czemuże ja się dzielić mam? Łżą psi, że ja-

koweś skarby od Wilhelma zdobyłem... Baśnie są...

— To już twoja z dyablem sprawa — przerwał znów Gryfita. — Oddaj połowę tego, co ci król dał...

— Nie dał mi nic, przysięgam!... Jeno przyrzekł na ową Suchę, iżbym się jej zbyć mógł, przyzwalający dokument wydać... jeno dopiero, gdy tu powróci.

Gryfita zachnął się gniewnie, co widząc Gniewosz, w obawie, iżby do zupełnej zwady nie przyszło, za rękę go pochwycił i dodał pośpiesznie:

— Alem ja gotów z mojej krwawicy ci dać... Ostatnie oddam, bylebyśmy spolem szli, i aby na marne nie poszło to, co już uzyskane... Z własnego mieszkania dam ci...

Tu się strzymał i z trudem wyjąkał:

— Grzywien sto...

Gryfita ręką machnął:

— Mało, ale niech będzie... tymczasem... A kiedy?

Pan z Dalewic ciężko westchnął.

— Wszystko jedno... — odparł — choćby dziś jeszcze wyliczę. Idź do gospody Skodzi-ny, ja wnet przybędę i wyliczę...

Gryfita wybiegł rad, że przecież choć tyle zdołał Gniewoszowi wydrzeć, a ten splunął za nim i przez zaciśnięte zęby mruknął:

— Dobrze to powiadają: nie gryż z dyablem orzechów! On mnie teraz za łeb chce brać, iżem spółkę z nim miał. Bogdajby zdechl!

Miał też pan z Dalewic inne jeszcze do utrapienia powody. Oto w Krakowie czekał już na niego tajny poseł od księcia Wilhelma. Rozgospodarował się w jego dworzysku i czekał. Był to młody, wesoły i grzeczny Niemiaszek, z Saskiej krainy, Henniger nazwiskiem, który Wilhelmowi służył, ale i każdemu za dobry żołd służyć był gotów. On też tak mówił Gniewoszowi:

— Książę dobry jest pan... ale teraz to się wściekł. Nie może odżalować ani tego królestwa, ani pięknej Jadwigi. Żenić go chcą z nadobną Joanną, córką owego neapolitańskiego Karola Durazzo, Małym zwanego, którego na zamku budzińskim jeszcze mniejszym uczyniono, albowiem głowę mu ucięto. Ale książę patrzy na tę Joannę z niechęcią i wciąż zwleka, wołając: „To nie to jest... tamta stokroć piękniejsza!“ Na Jadwigę zaś okrutnie wyrzeka, a chce zemsty srogiej. I na was, Gniewoszu, skarży się a mówi: „Przyjacielem mi był, obietnicami łudził, a jam się jeno przez niego wstydu najadł... Teraz zaś o mnie zapomniał i Jagielle służy, a Jadwidze spokojnie dozwala żyć...“ Tak mi więc rzekł w końcu: „Do Krakowa jedź i Gniewoszowi powiedz: Na to, on, książę, zezwolić nie może, iżby Jadwiga spokój miała. Zostawiłem Gniewoszowi—powiada—klejnoty cenne i grosz niemały, że za to i dwa pokolenia żyć mogą. Upominać się nie będę i daruję mu to, ale niech on żywot Jadwigi takim jadem zatruje, iżbym ja za moje udęczenia i doznana sromotę pomstę godną miał... Jeżeli zaś nie chce, lub nie może tego sprawić, to niech mi to, co w przechowanie wziął, odda...“ Tak rzekł książę i kazał mi tu siedzieć a pilnować was, dopóki odpowiesz stanowczej nie dacie.

Gniewosz kręcił się, jakby go kto ukropem złał, słysząc takie słowa. Krył zrazu

owego Hennigera w dworzysku, a strzegł przed podejrzliwym okiem Gryfity, ciągle zaś przekonać go się starał, iż on czyni, co może, iżby książę swoją pomstę miał.

Ale wesoły Niemiaszek śmiał się z tego.

— Mądrość tajona — mówił — to tyle, co głupstwo. Wy okażcie czynem, nie słowami lub obietnicą, żeście onej pomsty mądrze dokonali. A nie chcecie, to oddajcie, coście wzięli...

Ale tego pan z Dalewic za nic uczynić nie chciał, więc znowu kręcił się jak piskorz, i wreszcie namyśliwszy się, tak rzekł:

— Już postanowiłem... Nie chrześcijańska to rzecz jest pomsta, ale będzie ją miał książę... jeno mi dajcie czas.

— Mielście go dość... — zauważył Henniger.

— I nie zmarnowałem — przerwał żywo Gniewosz. — Powiadacie, jako żali się książę, iż Jagielle służy... ja zaś czynię to jedynie dla księcia. Piękny przygotowałem grunt. Jagiełło już teraz podejrzewa małżonkę i mnie wysłał, abym ją śledził, ona zaś brzydzi się nim. Że tak jest, jam to sprawił, ażeby zaś to uczynić, musiałem u obojga łaskę i zaufanie zdobywać. Tak powiedzcie księciu i proście, iżby cierpliwie czekał, niebawem zaś kontent będzie...

Ale Henniger głową chwiał.

— Nic mu teraz nie powiem, bo się stąd ani ruszę, dopóki nie dokonacie pomsty. Takie rozkazanie mam, iżbym ją na własne oczy widział... A nie, to oddajcie to, co wam książę w przechowanie dał, a co tu przywiózł był na swoje gody...

I na znak, że dobrze o wszystkim wiedział, począł wyliczać:

— Obrączek cennych, złotych i kalców z rubinami, brylantami i perłami dziewięć... pasów takichże dwa. Trzy szczerzłote łańcuchy... Nadto zaś gotowizną dziesięć tysięcy...

— Dość już... dość! — krzyknął Gniewosz błądy z niemocnego gniewu.—Po co to liczyć?... Uczynię wszystko, co książę chce... Jeno mi dajcie czas i nie przeszkadzajcie, na karku siedząc...

Pochylił się do ucha Niemca i coś mu szeptać począł. A wreszcie rzekł:

— Widzicie więc, że to będzie pomsta... Jagiełło porzuci naówczas Jadwigę, choćby tron utracił miał, albowiem zawzięty jest i zazdrosny okrutnie. Przeto nie pofolguje. A tak naprawi się wszystko. Pani Jadwiga sama naówczas posły śłać będzie do Rzymu, iżby jej małżeństwo za nieważne uznano... Książę zaś, jeśli zechce, i poślubić ją będzie mógł, i to królestwo, do którego, jak mówicie, tęskni, posiąść... Wracajcie tedy do księcia i to mu wszystko powiedzcie... Niech czeka i ślubowiny swe z ową neapolitańską Joanną niech odwlecze... Jadwigę będzie miał...

Henniger rozważał.

— Myśl to jest z piekła rodem, — rzekł w końcu — ale dyabeł, co tam rządzi, mądry jest, więc i myśl mądra... Kto wie?... Książę, choć złorzeczy a lży, rozmiłowany jest do niepamięci w tej waszej królowej... Kto wie?...

I nagle zaśmiał się, zacierając ręce.

W Maryackiej świątyni.

Wspomnienie.



Groby i groby! kędy zwrócić oko:
„Memento mori!”—spiż i marmur woła.
Tedy podnosisz smętną skroń wysoko
Pod gotyckiego arkady kościoła:
Myśl chce wylecieć skrzydłami złotemi—
Memento mori ściąga ją ku ziemi!

Więc nie! więc trupia pustka i zagłada!
Więc bezlitośne, milczące nicestwo!
Nie! marmur gada, spiż i granit gada
I wskrzesza ducha tęczowe królestwo:
Na trupią czaszką piętnowanej płycie
Z trumien zbutwiałych bije krzykiem: życie!

Między grobami zadumany stoję,
Ja, którym z świata przyszedł jak z cmentarza,
Po spokój głuchy, po zapomnień zdroje,
Po błogość mogił, co ból serca zmraża
—o mistyczna zagadko istnienia!—
Jam ducha mniej miał, niż łono kamienia.

Poczęły do mnie mówić one płyty,
Poczęły wołać żywych ludzi krzykiem,
I oto byłem na wysokość wzbity
Mówiących grobów ogniowym językiem,
Bo iście rzecz ta, którą wiodły truny,
Brzęk miała stali, a błysk jak pioruny!

...Kto sam był grobem, kto miał trupa w sobie,
Ten do mogiły kładzie się na wieczność,
Ale—zaprawdę—nie zagaśnie w grobie
Przed lat tysiącem iskrząca słoneczność,
Przed lat tysiącem, tysiącem tysięcy—
I będzie czasy ziemskie trwać—i więcej!

I będzie trwała, chociaż ziemia runie,
Choć zapomniany ludzki rodzaj będzie,
Ani promyka nie położy w trunie,
Lecz za widome polecą krawędzie—
I światło stworzy—i gdy słońce skona,
To nowem słońcem będzie światłość ona!...

Tak grób mi gadał. A dzień był Zaduszny,
I beznadziejna szła pośepność światem...
I rzekł mi: „Klęknij!”—i kląknę posłuszny
Przed tego życia w śmierci majestatem,
Duszę mogiłam oddawając w jeństwo
I prosząc grobów o błogosławieństwo.

Zmrok był. Szarzały malowidła skrawe,
Złote anioły grażyły się w cieniu,
A otom ujrzał wiekopomną Sławę
Na grobowcowym opartą kamieniu,
Skrzydła się od niej, jak blask słońca, wija,
I owo rzekła: „Ze mną są—i żyją!”

PR-OT.



Inicjatywa indywidualna.



Rzecz, jakkolwiek próbował podjąć jaką
myśl żywotną, do której urzeczy-
wistnienia potrzeba sił zbioro-
wych, spotkał się niezawodnie
z oporem, pochodzącym nie z braku sym-
patyi dla przedstawionego projektu, ani ze złej
woli, lecz z przekonania, istniejącego w głębi
niemal każdego umysłu, że wszelkie usiło-
wania podobne okażą się bezskutecznymi.
Odezwa się zaraz głosy różne, powtarzające
na wszelkie sposoby: „U nas to niepodobna!”
„To się udać nie może!” „Na co próżne wy-
silki?”

Podobne słowa streszczają dosadnie po-
wszechny brak wiary we własne siły, który
mrozi nieraz najlepsze chęci i tłómaczy bez-
krytyczne postępowanie mnóstwa jednostek.
Bo te, przekonane o bezskuteczności swych
usiłowań, poddają się biernie okolicznościom,
dodając, ażeby uspokoić własne sumienie:
„Cóż ja znaczą?”

Jest to rodzaj pokory, w najwyższym
stopniu szkodliwej. Składają się na nią: źle
zrozumiane doktryny determinizmu, bezwłas-
nowolności, czyniące z jednostki konieczny
wynik środowiska, z którego się wyzwolić
nie może, i wrodzone lenistwo, apatya, tchó-
rzostwo, ukryte na dnie tyłu dusz. One to
zmniejszają opór rozkładowym czynnikiem
życia i oddają człowieka na pastwę wypad-
ków i ludzi, z którymi los go zespoli.

* * *

Charakter nasz był zawsze słaby i łatwo
ulegający obcym wpływom. Było to i jest dotych-
czas kłątą, ciężącą nad naszym społeczeń-
stwem. Jednostka zdobywa się z trudnością
na inicjatywę i, sama posiadając jej mało,
wątpi też o skuteczności inicjatywy innych.
Ta niewiara w siebie i innych staje na-
wspak wszelkim energiczniejszym usiło-
waniom i utrudnia im osiągnięcie celu biernym
oporem ogółu.

A jednak pomimo wszystko i wbrew
rozpaczliwym teoryom i rozpaczliwej apatyi,
można dowieść tysiącem przykładów, ile
zarówno złego, jak dobrego, jednostka, obda-
rzona wolą i wytrwałością, zdziałać mo-
że nawet w naszym społeczeństwie. Natural-
nie, im ta jednostka będzie silniejszą, mędr-
szą, świadomszą swoich środków, a nade-
wszystko im szczerzej, goręcej odda się
swoim celom, poświęci im wszystkie swe
myśli, tem działalność jej będzie skutecz-
niejszą.

Wbrew wielu powieściopisarzom i dra-
maturgom, lubiących wystawiać konieczny
upadek ludzi dobrych chęci, skoro wystąpią
na szerszą arenę, widzimy w życiu, że te do-
bre chęci odnoszą wielokrotnie pożądany sku-
tek; impuls, dany przez szlachetną jednostkę,
zdolny jest poruszyć masy w sposób z pozoru
nieproporcjonalny do jej siły, wywołuje
skutki trwałe, daje początek nowym instytu-
cyom, nowym prądom, które za pomocą su-
gestyi ropowszechniają się szeroko i dają
nieobrachowane następstwa.

* * *

Dzieje miłosierdzia pełne są prawdzi-
wych cudów, zdziałanych przez jednostki,

których jedyną siłą stanowiło serce, odczuwa-
jące nędze bliźnich. Cuda te powtarzają się
ciągle w naszych oczach. Oto za sprawą
ubogiej zakonnicy, skromnego sługi Bożego,
rozporządzającego szczupłymi środkami, wzno-
szą się gmachy, przeznaczone dla kalek, dla
opuszczonych dzieci, i seciny biedaków są
nakarmione, okryte, uchronione od nędzy i ze-
psucia.

Nie mówiąc nawet o zakładach dobro-
czynnych, które odpowiadają widocznym po-
trebom społecznym i przemawiają do serc
widokiem nędzy, widzieliśmy także, jak wola
jednego człowieka dokazała rzeczy bez po-
równania trudniejszej, rzeczy sprzecznej z na-
szemi odwiecznymi nawykami i gustem.
Doktor Chałubiński skierował do Zakopanego
falę turystów, dążących do Alp i różnych
uzdrowisk zagranicznych, przełamał nasze
lekceważenie do rzeczy swojskich, nauczył
cenić co nasze i tym sposobem stał się twór-
cą nowych prądów i potrzeb, które nie tylko
dały początek prześlizniętej osadzie u stóp
Giewontu, lecz i innym, coraz nowym, po-
wstającym w różnych miejscowościach gó-
rzystych naszego kraju.

W Zakopanem rodzi się nowy styl ar-
chitektoniczny i zdobniczy, a rozwój jego
może przynieść bogate owoce, dać początek
wyrobom charakterystycznym, opartym na
swojskich motywach. Są to przykłady do-
brze znane i tak bliskie, że powinnyby krze-
pić ducha w tych wszystkich, którzy niedo-
wierzają możliwości skuteczności działania
jednostki.

* * *

Często jednak działanie to napotyka
przeszkody w samejże jednostce, nie umieją-
cej uczynić ofiary z miłości własnej, ambicyi
osobistej, dumy i cofającej się od pracy, sko-
ro te uczucia są podrażnione. Ażeby praco-
wać skutecznie, trzeba umieć zapomnieć
o sobie, z przywódcy zejść na szeregowca,
jeśli tego zajdzie potrzeba, gdyż nie idzie
o to, by zrobił ten, co myśl rzucił, lecz
aby rzecz pożyteczna zrobiona była. Trzeba
patrzeć tylko w cel umiłowany.

Ale i wówczas nawet, gdy skutek usi-
łowań nie jest osiągnięty, kto będzie śmiało
powiedzieć, że są one zmarnowane? Czy jes-
teśmy w stanie żądać i obrachować, jakie
indywidualne, chociażby nawet odosobnione
działanie może wywołać następstwa? Jakie
zbudzić mogą echa, uczucia, czyny, które
z kolei wytworzą środowiska, aż wywołają
skutek.

W ten sposób ci nawet, którzy nie posia-
dają wpływowego położenia i mogą tylko od-
działywać na szczupłe kółko najbliższych, nie
są pozbawieni głosu, mogą przyłożyć choćby
skromną cegiełkę do ogólnego dobra, byle
nieśli gorące chęci i nie wahali się ich w czyn
wprowadzić wedle sił i możliwości.

Jednostka, w jakimkolwiek znajduje się
położeniu, nie powinna nigdy zapominać, że
na niej także ciąży obowiązek społeczny,
a obowiązek ten wymaga, ażeby nie lekcewa-
żyła samej siebie, nie zasłaniała się wygod-
nem: „coż ja znaczą?”—lecz szła za swoim
przekonaniem bez względu na to, w jaki spo-
sób inni postępować mogą.

WALERYA MARRENÉ MORZKOWSKA.



ŚMIERĆ.

LEGENDA MAZURSKA.

*

Od kiedy Najwyższemu Stwórcy zakrwawiło się serce do ludzi za ów grzech ich pierworodny, zaraz zesłał na ziemię śmierć.

Niema chyba takiego na świecie, co by nie wiedział, jak ona wygląda; każdemu przykro przyszła i kosą swoją kogoś z ulubionych podcięła.

Nie każdemu może wiadomo, skąd ona się wzięła, i kogo to z czeladzi swojej Najwyższy Pan wybrał i na takie pohańbienie wielkie zesłał.

Otóż tedy, kiedy Pan Bóg zwołał wszystkich swoich aniołów, ażeby ich zlustrować, była jedna między nimi panienka, śliczności nad ślicznościami. A kiedy Najwyższy Pan zwoływał wszystkich, ona właśnie długie swoje włosy czesała, przegładając się w kropkach rosy, co u jednej chmurki przed tronem Bożym zawisała.

Kiedy usłyszała owa śliczności anioł panienka boskie wołanie, rzekła sobie:

— Nie pójdę przecie z nieczesanim włosom; niechaj poczekają!

A powiedzieć trzeba, że każdemu Pan Bóg dał czas, żeby się jako przystało ochłodził, jeno ona zabawiła się, aż się jej włosy roztrzepały, i nie mogła na zawołanie Boże stanąć.

Ale Pan Najwyższy, jakby nie o niej nie wiedział, wszystkim innym aniołom swoją wolę objaśnił i po świecie ich rozesał. Na ostatku woła owa śliczności anielicę.

Że to Pan Bóg nie lubi się długo nad niczem zabawiać, nie zdążyła więc ona włosów jeszcze zapleść, jeno jak stała, z grzebieniem w rękę i rozpuszczonymi włosami, przyleciała, ale w sercu nie była spokojna i złość a żal miała okrutną. Pan Bóg jeno spojrział, wszystko do głębin przeniknął. Nie pytał więc o nic, jeno rzekł:

— Polecisz mi w świat, na ziemię i wielkie żniwo bez najmniejszego wychnienia czynić będziesz. Śmiercią się odtąd zowiesz!

I oto naraz z jej gładkiego lica ciało odleciało, oczy się zapadły, zęby w wychudzonych wargach klapotać poczęły; długie włosy zamieniły się w wielką płachtę, a grzebień w kosę się przedzierzgnął. I jak jej Pan Bóg przykazał, poleciała i lata wciąż po szerokim świecie,

Czy wiosna zielenią pola i łąki okryje, czy lato upalnym słońcem zboże pozłoci, czy mgły jesienne się powloką, czyli mróz ściśnie ziemię, a śniegi ją przysypią, śmierć o nic nie pyta, macha kosą i macha!..

Nieraz chciałaby spocząć, ale kędy zapuka, wszyscy przed nią drzwi zapierają; gdzie zajrzy, wszędy płacz i skargi, rozpacz straszliwa i ciche, albo i głośne, na niebogę pomstowanie.

Owinie się tedy białą płachtą, przerzuci kosę przez ramię, zakłapie wielkimi zębami w wychudzonych wargach—i leci dalej i dalej.

Raz w mgłę jesiennej włóczyła się tak po świecie, a jako się przy żniwie strasznie zmachała, zapragnęła na chwilę odpocząć.

Ale gdzie? Nikt jej przyjąć nie chce.

Obaczyła wielkie cmentarzysko: ludzi moc na każdej mogile kłęczą, cisza w przestworzu, jeno płacz a westchnienia słysząc od każdego grobu.

Jedna jedyna tylko mogiła nie ma nikogo. Wieniec na niej nie leży, żadne oczy nad nią nie płaczą, żadne usta nie szepczą pacierza.

Nagle ponad cmentarzem powiał wiatr chłodny, aż ludzie kłęczący na mogiłach się wzdrygnęli.

To śmierć nad opuszczoną mogiłą tak westchnęła.

Westchnęła, a owinawszy się płachtą białą, przerzuciła kosę przez ramię i poleciała dalej i dalej!

Poleciała spełniać rozkazanie Boże, ale co rok w dzień Zaduszny przylatuje na cmentarz. I wtedy jest taka chwila, jedno, jedno mgnienie oka, że nikt na całym świecie nie umiera.

Śmierć płacze wtedy na opuszczonej mogile.

Z. MORAWSKA.

*

Z tygodnia na tydzień.

*

Plotki..

Dziecko, ciskając kamyki w spokojną toń wody, nie wie, jaką wyrządza jej krzywdę. Na dnie zmaconem zrywają się brudne, oślizgłe porosty, tuman zatekłego iłu przysłania kryształową tafłę. Nie przejrzy się już w niej, jak w zwierciadle, kwiat niezabudki i gałąź wierzby i pęk oczeretu: wzburzona, mętna, przyciągnie co najwyższej łakomą rybitwę, która spadnie po żer łatwy.

Złe słowo—to jak kamyk w palcach dziecka, z tą różnicą, że gdy tam ciska ręka nieświadoma, tu—miotają usta, które wiedzą, co mówią.

Takie złe słowo, ba! nie pojedyncze, lecz potok ich cały, padło ostatnimi czasy w kierunku jednej z bardziej zasłużonych kobiet naszych, by wyrwać ją z tej spokojnej a silnej równowagi, która pozwalała jej na pracę, pełną poświęceń i samowyrzeczenia.

Paszkwile znajdują u nas łatwy zawsze dostęp zarówno do szpał prasy, jak i do czytającej publiczności; milczymy wówczas tylko, gdy chodzi o obronę dobrej sprawy.

A jednak—czy nie powinno istnieć prawo, nie pozwalające na podobnie bezkarną zabawę? Czy nie powinny znaleźć się kleszcze moralne, trzymające na uwierzy jad rozpasanych języków?

Czytelnicy, osądźcie rzecz całą sami.

W jednym z bardziej cenionych zakładów naukowych żeńskich zdarzył się fakt zasłabnięcia na szkarlatynę uczenicy, przywiezionej już w gorączce i z bólem gardła.

Ponieważ dzień był ciepły, niemal wiosenny, i lekarz uznał, iż przewiezienie dziewczynki do pobliskiego domu w karecie przy zachowaniu wszelkich ostrożności pod jego kierunkiem nie pogorszy choroby, a ocalić może zakład przed niechybną zarazą, przeto przełożona postanowiła oddać cierpiące małeństwo z domu pod opiekę jednej z wytrawnych i zaufanych nauczycielek.

Nieszczęście mieć chciało, że naza jutrz po przewiezieniu dziecka, szkarlatyna, która w niem już tkwiła, nim oddane było na pensję, padła na mózg i zabiła je.

Zdarzenie to wystarczyło, by na spokojną, rozumną i pełną poświęceń pracę panny X., jak na tafłę cichego stawu, posypał się zewsząd grad pocisków.

Zrazu obiegła miasto głucha wieść o panującej w zakładzie zarazie. Następnie żywym i drukowanym słowem poczęto szarpać imię przełożonej, która jakoby wyrzuciła od siebie na bruk chore dziecko.

Czego nie wymyślono, by dotknąć ją w najbrutalniejszy sposób!

Cichy, dyskretny głos jednego z poważnych lekarzy stanął w obronie zakładu samego, stwierdzając, iż nie istnieje w nim zaraza; za osobą samej przełożonej nie ujął się dotychczas nikt.

Co nas to obchodzić może, że w spokojnym stawie sąsiada czyjeś złe, czy tylko lekkomyślne ręce mącą gradem kamieni toń gładką?

Bawimy się pluskiem rytmicznym,

a niejedna rybitwa w oczach naszych korzysta z poruszonego zła, by spuścić się po żer łatwy.

cw

*

Koncert na rzecz odbudowy wieży Jasnogórskiej.

Przed półroczem wspominaliśmy o zawiązaniu się ponownem kwartetu smyczkowego polskiego, który od kilku lat opracowuje repertuar z utworów swojskich i obcych. Zamiar swój kwarteciści uskutecznił: dnia 19 b. m., w sali Ratuszowej, przy współudziale artystów teatrów rządowych; pań: Czakówny, Boguckiej, pana Floryńskiego, tudzież pianistki p. Maryi Witkowskiej-Jabłońskiej, dali koncert, w którym zaprodukowali mo-

numentalny kwartet F—dur Beethovena i nowy kwartet p. Wojciecha Gawrońskiego (aut. opery „Maryi“), nagrodzony na konkursie w Lipsku. Całkowity dochód, jak wiadomo, przeznaczony został na odbudowanie wieży Jasnogórskiej.



Wojciech Gawroński.

Pierwsze skrzypce kwartetu dzierży prof. Instyt. Muz., p. Jakowski, urodzony w r. 1867, uczeń Górskiego i Barcewicza. Drugie skrzypce—p. Klein, wychowaniec Instyt. Muz. z r. 1886, uczeń Jakowskiego i Barcewicza. Partię altową gra p. Józef Melcer (brat Henryka), ur. w r. 1873, ucz. Hanickiego. Wiolonczelistą jest p. K. Paschalski, z Radomskiego, znany pedagog w Warszawie. Kształcił się jako skrzypek w Instyt. Muz. u Górskiego, od r. 1882 grał w orkiestrze teatru Wielkiego. Wiolonczelę z zamiłowaniem uprawia od lat 12.

Zespół kwartecistów jest jednolity i zgodny, co jest zasadniczą podstawą wirtuozyjnej strony



Józef Melcer Aleksander Klejn
Konstanty Paschalski Jan Jakowski

wykonania. Obok tego każdy umie być samodzielnym w swej partyi, dostrajając się ściśle do całości. Czystość intonacji i zrozumienie stylu są bez zarzutu. Przekonało nas o tem wykonanie z pietyzmem skomplikowanego kwartetu Beethovena. Wolelibyśmy tylko nieco żywsze tempo w *Adagio*. Kwartet p. W. Gawrońskiego—nowy cenny nabytek naszej literatury muzycznej—zyskał powszechne uznanie prasy i publiczności. Jasność, polot, fantazyja i doskonałość formy przemawiają za wielką przyszłością byłego ucznia prof. Noskowskiego, jeżeli autor przechowa święcie rady i wskazówki swego kierownika co do szanowania melodyi ludowych i form dawnych wzorów klasycznych.

Udział artystów opery i dramatu urozmaicił koncert. Publiczność była nieliczna, ale doborowa. P. Bogucka artystycznie odśpiewała pieśń p. M. Karłowicza (bisowaną). Młody kompozytor swemi pieśniami złożył dowody rzetelnego talentu; znać w utworach p. Karłowicza po za „iskrą Bożą muzyka”—poetę i myśliciela. P. Floryński czarował publiczność swym potężnym głosem i świetną dykcją. Pani Jabłońska starannie wykonała „Balladę“ Chopina i „Serenadę“ Gawrońskiego; p. Czaki mile wypowiedziała wiersz Asnyka.

Od listopada, w niedzielę, w jednej z sal tuższych kwarteciści zamierzają dać 4 wieczory kameralne z udziałem pierwszorzędnych sił artystycznych. Wieczory będą trwały od 5 i pół do 7 i pół wiecz. Repertuar uczestników—*wyłącznie rzeczy nowe, nieznanne, a wartościowe.*

Obecny repertuar kwartecistów składa się z utworów swojskich: Noskowskiego, Roguskiego, Żeleńskiego, Gawrońskiego i Jotejki, oraz klasycznych Beethovena i Haydna.

Życzymy szczerze powodzenia nowej, a tak potrzebnej u nas instytucji. Niech swą zgodą życiową i artystyczną pp. kwarteciści obalą złośliwy dwuwiersz, ongi im dedykowany:

Dziw to jest rzadki, że pod Muzy wodzą
Czterej Polacy na jedno się godzą. *am*

✽

Wrażenia z dróg Południowo-Zachodnich.

Jeżeli, łaskawy czytelniku, słyszałeś coś o Madajewem łożu, bądź łaskaw przejechać się via Brześć-Kowel-Odesa pociągiem pocztowym, w wagonie drugiej klasy. Jeśli dzięki łaskawej przyrodzie posiadasz wzrost więcej niż średni, doznasz prawdziwej rozkoszy po zbadaniu, że ławki wagonów, przeznaczone do spania, są akurat o pół łokcia krótsze, niż długość przeciętnego podróżnika.

Nie wiadomo, coby należało odciąć wędrującemu osobnikowi: głowę po szyję, czy nogi do połowy goleni? Gdyby jednak wędrował konstruktor wagonów, sądzę, że dekapitacja byłaby najracjonalniejszym zabiegiem, bo w tym razie głowa uważana być może jako niepotrzebny dodatek.

Na jakie męki skazany jest nieszczęśliwy podróżny, jak wymyślne przybiera pozy, aby się na wąskiej i krótkiej ławeczce pomieścić!

Skoro jednak traf łaskawy pomieści cię, o niefortunny podróżniku, w sąsiedztwie rodziny zażywającej kuchni koszernej—zginałeś jak ruda mysz w pułapce.

Wtedy ujrzysz, jak wygląda kuchnia ruchoma, zastosowana do potrzeb domowego ogniska.

Na kapeluszu twoim spoczną kromki chleba nasmarowane masłem. Młode latorośle przyjemnego stadła poczną bez ceremonii ocierać załuszczone ręce o ubranie twoje. Deptać będziesz po skorupach orzechów i łuskwinach słonecznika. Obleją ci kolana gorącą herbata z mlekiem, a głowę obsypią odpadkami spożywanych winogron.

Obstawiony koszami, torbami, zojdami kołder i poduszek, daremnie biadać będziesz nad nicestwem i pogwałceniem twojem, a tymczasem

ojciec rodu, wygodnie rozciągnięty na stoczach betów, chrapie na rozmaite tony, rozkoszne bachorki również zażywają wczasu, a personel żeński, drzemiąc siedzący, kiwa się na prawo, lewo, w tył i naprzód. Salwujesz się przeto przenosinami do klasy pierwszej. Zdobyłeś tak nazwany fotel—i ułożywszy niewielką poduszkę, nakrywasz się derą, myśląc: nareszcie odpocznę...

Nie sądzonym ci jednak spokój, nieopatrzny i niedoświadczony wędrowcze! Oto co stacya wchodzi z trzaskiem personel kontrolujący i budzi bez ceremonii, pytając o bilety. Prócz tego również co kilka stacyi przybywa nowy podróżny, oraz posługacze—znów hałas, lokowanie kuferków i deptanie po nogach lub głowie.

Daremnie wysiła się mózg ludzki nad rozwiązaniem zagadki, czem się różni płaćący za bilet podróżny od tłomoka. Daremnie czekałby należało na odpowiedź, czy wagony sypialne pierwszej klasy służą do spania, czy do forsownego targania śpiących, celem zaspokojenia ciekawości, dokąd jada, skoro to kilkakrotnie było już sprawdzane.

Dlaczego na drogach Południowo-Zachodnich przy tak olbrzymim ruchu pasażerskim jest tak mało wagonów pierwszej i drugiej klasy? dlaczego panuje taki nieporządek, brud i lekceważenie podróżujących? dlaczego talerz zupy i kawałek mięsa kosztują rubla, a porcja kotletów także rubla, choć funt mięsa płaci się 8 kopiejek?...

Wszystko to są dość ciekawe kwestye, a sądzimy, że istnieje ktoś, coby powinien zwrócić na nie uwagę i odpowiednio złemu zaradzić...

Bo obecnie przypominają mi się porządki kolejowe arkadyjskich czasów. *g*

Kuchnie ruchome.

Nowa instytucja, o której powstaniu pisaliśmy kilkakrotnie, rozpoczęła swą działalność. Pierwsze wozy z gorącą strawą ukazały się na ulicach Warszawy.



Ks. Zygmunt Chelmiński.
Wiceprezes kuchni ruchomych.

obsłuży dzielnicę Staromiejską, a piątą Pragę.

Kuchnia znajduje się przy ulicy Petersbur-



Wóz kuchni ruchomych w Warszawie.

skiej na Pradze, gdzie się znajdują przytulki noclegowe.

Zupa przewozi się w dużych gąsiorach do wozów i wlewa w kotły izolacyjne, tak urządzone, że w ciągu czterech godzin ciepłota obniża się bardzo mało i jadło nie na smaku nie traci.

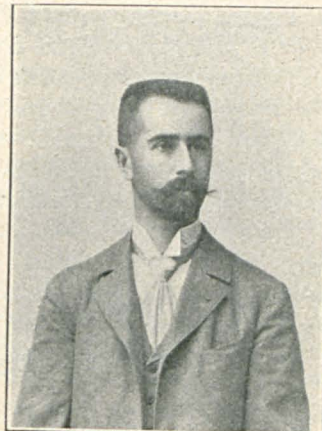


Ksawery Chamiec.
Sekretarz kuchni ruchomych.

Służba kuchni ruchomych składa się z kucharza, trzydziestu kobiet do pomocy przy obieraniu jarzyn i t. p., oraz pięciu brygad konduktorskich, złożonych z trzech osób każda, t. j. z woźnicy, konduktora i chłopca, dającego na trąbce sygnały.

Sprawa przetarcia dostarczania ciepłej strawy ludności pracującej jest rozpoczęta. Życzymy jej z całego serca powodzenia, bo jest to sprawa uczciwa, ludzka i wysoce pożyteczna.

Przedsięwzięcie, prowadzone starannie i umiejętnie, powinno rozwinąć się i przybrać szerokie rozmiary. Kto wie, może w niedalekiej przyszłości kuchnie ruchome rozwozić będą nie dziesiątki, lecz setki tysięcy litrów.



Karol Rose.
Inicjator kuchni ruchomych.

Najpierw należało podać dłoń pomocy najuboższemu. Następnie wypada pomyśleć o takich, którzy w dużych miastach stanowią tak zwaną błyszczącą nędzę.

Ileż to mamy rodzin, ilu pojedynczych ludzi, ukrywających starannie głód i niedostatek, o których rozpaczliwie nieraz położeniu nikt nie wie! Nie pójda ani na ulicę z miską lub garnkiem, bo im wstyd, a wstyd ten nieraz silniejszy od głodu i chłodu. Obmyślić należy sposób dostarczania pożywienia i opalu tym wykojejonym i nieszczęśliwym, którzy słusznie czy niesłusznie, logicznie czy nierozumnie, dążą do wielkiego miasta, szukając chleba, a rzadko ten chleb znajdują.

I kto wie, czy taka nędza nie gorsza od nędzy w łachmanach i z torbą żebracza, bo cierpi zgnębiona, nieznaną i milcząca...

Dlaczego zbladłe wargi daremnie szeptać mają słowa modlitwy: „Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj?...“ *d*

✽

Fotografie pomników kościoła N. M. P., umieszczone w dzisiejszym numerze, pochodzą z zakładu fotograficznego J. Kriegera w Krakowie.



Kronika powszechna.

Ze świata katolickiego.

Z powodu końca wieku. Wszystkie kraje katolickie, każdy w sposób odmienny, powzięły za inicjatywę Watykanu myśl uczczenia królującego już przez dziewiętnaście wieków Zbawiciela pomnikami dziełami sztuki. Najbardziej może imponującym jest pomysł katolików włoskich. Postanowiono wzniesić na wydatniejszych szczytach Apeninów 19 cie olbrzymich krzyżów kamiennych, których ideę ma wyrażać napisem staro-chrześcijańskie hasło: *Christus vincit, Christus regnat, Christus triumphat.* Będą one tą ideą świeciły ludziom z wysoka, jak majaki, na wzburzonym oceanie życia. A gdy we Włoszech, tej kolebce chrześcijaństwa, ludzie zapominają modlitwy, będą się modliły kamienie, w krzyże wykute, błagając zmiłowania Pańskiego nad nieszczęsnym, podminowanym niewiarą krajem. Właśnie już pierwszy taki krzyż wystawiono na Wezuwiuszu, i dopełniono nie tak dawno uroczystego tej monumentalnej pamiątki poświęcenia. Szczególniejsze wrażenie czyni ten krzyż posąg na wulkanicznej górze. Jakby z czeluści piekielnych, wybucha niszcząca wszystko dokoła lawa namiętności ludzkich, a ponad kraterem stoi zaklęta w kamień Boża Męka i, zażegnawując, uciśsza wulkan groźnych przewrotów społecznych... I nasze społeczeństwo o podobnym uczczeniu Zbawiciela pomyślało. Niezależnie od dźwignięcia z początkiem XX wieku wspanialszej, niż była kiedykolwiek, wieżycy Jasno-górskiej, której zażądała od nas sama Bogarodzica, postanowiliśmy z własnej woli uczcić Jej Syna kościołem. Mówię, jak każdy snadno się domyśli, o świątyni pod wezwaniem Zbawiciela, mającej stanąć w Warszawie przy ulicy Marszałkowskiej. Ubodźśmy, więc łączymy ku wykonaniu jednego dzieła dwa cele: cel praktyczny, cząstkowy, którym jest potrzeba religijna pozabawionej kościoła rozległej części Warszawy—z celem ogólnym uczczenia na przełomie wieków Chrystusa przez cały naród. Ani wątpić można, że przy takim podwójnym ogniu idei, zapal społeczeństwa dla powziętego dzieła wyrazi się hojną ofiarnością. „Przeгляд Katolicki,” który tę sprawę, popieraną następnie gorąco przez prasę, podniósł jeszcze w roku ubiegłym, stawia nam obecnie przed oczy ofiarności na chwałę Bożą naszych przodków, i z mnóstwa innych przytacza taki wymowny przykład. Starosta lubelski, Daniłowicz, urządził własnym kosztem w swym kościele parafialnym wspaniałą grób Zbawiciela na W. Piątek. Podziwiał to dzieło kunsztu ówczesnego Jan Sobieski, a starosta rzecze: „Najjaśniejszy Panie! kiedy idzie o domu Bożego ozdobę, przelałabym chętnie w jedną lampkę kościelną całą swój majątek“ (N-r 40). Nie damy się zapewne owemu staroście zawstydzić. Już dzisiaj wiele zbożnych osób wypieściło w swych duszach jakieś

cudo świątyni, na które złożyła się cała potęga naszej sztuki, w jej budowlanym, rzeźbiarskim i malarskim objawach. Niechajby ten kościół nie był bogatym materyalnie, byle nim był artystycznie, a już owo marzenie się spełni. Ks. I. Ch.

Z prasy polskiej.

Świat artystyczny ogłasza konkurs na skomponowanie głowicy kolumnowej, lub pilastrowej, z motywów świata roślinnego i zwierzęcego z uwzględnieniem, ile można, najcharakterystyczniejszych motywów świata roślinnego i zwierzęcego w kraju naszym. Użycie motywu głowy typowej ludu naszego charakterystycznie ukostiumowanej nie wyłącza się. Nagrody I—rub. 30; II—rub. 20. — *Kronika Rodzinna*: „O cudach bożych,” Praca Leona XIII nad ożywieniem ducha pobożności w kościele; „Śladem przemysłu i handlu.”—*Wszehświat*: „Zasady chemii nieorganicznej” W. Ostwalda.—*Prawda*: „Społeczeństwo a młodzież” przez K. R. Żywickiego (w kwestyi etyki płciowej).—*Niwa Polska*: „Moralność na dwie ręce” przez Walentyniana; „Organizacya miłosierdzia” przez ks. Ig. Charszewskiego.—*Kuryer Codzienny*: „Kronika Prusa,” w odcinku powieść Gruszeckiego „Na wyścigach.”—*Kuryer Warszawski* zapowiada, że niezadługo ogłosi rezultat „Konkursu stulecia.”—*Goniec Handlowy*: „Pogadanki ekonomiczne.”

Polityka.

Wypadkiem chwili był w ubiegłym tygodniu, i zapewne jeszcze będzie, układ zawarty pomiędzy Anglią a Niemcami, normujący zasady, których oba państwa będą się trzymały w sprawie chińskiej. Konwencya ta ogłoszona była urzędownie, a zawiera następujące postanowienia: Rządy angielski i niemiecki, pragnąc podtrzymać swoje interesy w Chinach i swoje prawa, wynikające z istniejących konwencji, weszły z sobą w porozumienie, mocą którego w obustronnej polityce wobec Chin przestrzegać będą następujących zasad: 1) Interes międzynarodowy wymaga, aby tory, znajdujące się na wybrzeżach morskich i rzekach, były otwarte i wolne dla działalności handlowej i gospodarczej osób wszelkiej narodowości. Oba rządy uwzględnić będą nawzajem swoje sfery wpływu. 2) Anglia i Niemcy nie zamierzają korzystać z obecnych zawikłań w celu nabycia korzyści terytoryalnych w państwie chińskim i tak będą kierowały swoją polityką, aby skład terytoryalny Chin nie był uszczuplony. 3) W razie, gdyby inne państwa chciały korzystać z zawikłań chińskich dla osiągnięcia nabytków terytoryalnych, strony układające się rezerwują sobie prawo wejścia w uprzednie porozumienie co do środków obrony ich własnych interesów. 4) Oba rządy proponują innym państwom, a w szczególności Francji, Włochom, Japonii,

Austro-Węgrom, Rosji i Stanom Zjednoczonym, aby się przyłączyły do wyłuszczonej w tej umowie zasad. Podobno mocarstwa interesowane wyrażają zgodę na zasady tu wyłuszczone, które zresztą nie odbiegają od innych dawniejszych programów. W samym wypadku nie o to jednakże idzie. Znamiennym jest fakt, że dwa państwa zawierają oddzielnie traktat, mocą którego stoją niejako na straży wyrażonych tam punktów, co ma znaczenie głównie ze względu na zasadę utrzymania całości terytoryalnej Chin. Podobno, oprócz tej jawnej konwencji, istnieje jeszcze układ tajny między Anglią a Niemcami. Bądź co bądź, zbliżenie się tych obu mocarstw widać wyraźnie w konwencji, a to jest rzecz poważna. W Niemczech dokonała się nagle zmiana na urzędzie kanclerskim. Ks. Hohenlohe, z powodu starości i zmęczenia, ustąpił, a jego miejsce, jako kanclerza cesarskiego, prezesa gabinetu pruskiego, ministra spraw zagranicznych, zajął hr. Bülow, dotychczas sekretarz stanu spraw zagranicznych.

Fotografia i dziennikarstwo.

Powzięto w dziennikarstwie myśl oryginalną. Wobec tej nowinki, kronika wypadków, tudzież nasze ilustracje, niewątpliwie są zdystansowane. Najświeższym owym genialnym wynalazkiem jest gazeta, ze stereoskopowych fotografii złożona. Rzecz dzieje się tak: Zdolny reporter, który wszędzie się wkręci, gdzie tylko zwyższy ciekawy wypadek, zdejmuje a zdejmuje klisze, Chodzi tylko o to, żeby przesłać je czytelnikowi (stare wyrażenie). W tym celu ze zdjęć stereoskopowych błyskawicznych robią się pozytywki na błoniastej wstędze, podobnej do używanych w kinematografie. Wstęga zwinięta tworzy niewielką rurkę. I to jest właśnie najświeższy tygodnik prenumeratora. Otrzymuje go co tydzień poczta, wkłada do lekkiego aparaciku stereoskopowego. Sprytna maszynerya odwija rurkę w jedną, albo drugą stronę. Spokojnie siedząc w fotelu, prenumeratore widzi wszystko, co się stało w przeciągu tygodnia, jak żywe. Ożywiły się wieczory rodzinne, a z końcem roku uzbierała się obfita kolekcya zdjęć różnych wypadków, osób, ceremonii, gmachów etc. Aparacik sam jest lekki, mało zajmuje miejsca, zresztą dają go darmo. Nie zazdrość przeszkadza nam wymienić nazwę groźnego konkurenta, lecz ta jedynie okoliczność, że jeszcze nie istnieje.

Konkurs fotograficzny firmy J. Golez.

Niniejszem zawiadamiamy wszystkich amatorów-fotografów, że termin nadsyłania prac na konkurs fotograficzny przedłuża się do dnia 10 grudnia r. b. Po 10-ym grudnia rozpoczyna się prace sądu konkursowego, żadne więc fotografie, nadchodzące po tym terminie, nie będą do konkursu włączane. Ostateczny wynik sądu będzie wiadomy w dniu 20-go grudnia, o czem nie-

zwłocznie ogłosimy. Przy sposobności jeszcze raz zwracamy uwagę na specjalny charakter konkursu, mającego na celu skierowanie sił amatorskich do prac systematycznych w dziedzinie etnografii.

Z piśmiennictwa.

Wychodząca w Wilnie gazeta „Siewiero-Zapad. Slovo” zamieściła przekład noweli Leona Bogdanowicza p. t. „Premiera i zwycięstwo Abisyńczyków,” drukowanej w wydawnictwie zbiorowym na rzecz warszawskiej kasy Literackiej „Sami Sobie.” Przekładu dokonała p. Helena Nowicka.

Zmarli.

Księżę Stefan Ksawery Tadeusz Paweł Lubomirski, senior rodziny z linii dubrowieńskiej, zmarł w Warszawie, przeżywszy lat 81. Urodzony d. 21-go lutego r. 1819 jako najstarszy syn ks. Eugeniusza, pana na Dubrownie, i Maryi z hr. Czackich, był przez długi czas marszałkiem szlachty gub. Mohylońskiej. Przeniósłszy się następnie do Warszawy, ś. p. ks. Stefan zapisał się w kronice filantropijnej naszego miasta. Powołany w r. 1885 na prezesa rady zarządzającej warszawskiego Towarzystwa ubezpieczeń od ognia, ś. p. ks. Stefan Lubomirski do końca życia pozostał na tem stanowisku. Zmarł bezżennie, pozostawiając dwóch braci młodszych, ks. Eugeniusza z Kruszyny i Dubrowni, oraz ks. Jana Tadeusza z Małej Wsi, b. prezesa tow. dobroczynności i prezesa Tow. kredytowego m. Warszawy. Zwłoki ś. p. ks. Stefana pochowano w grobie rodzinnym w Kruszynie.

Dr. Albert, głośny chirurg i uczonec, profesor uniwersytetu wiedeńskiego, zakończył życie w Senftenbergu w Czechach. Nieboszczyk posiadał, jako uczonec i operator, sławę europejską, nadto obdarzony był niezwykle zdolnościami poetyckimi, czego dowodem mistrzowski przekład poezji Jarosława Vrchlickiego na język niemiecki. Ś. p. Albert był gorącym patriotą czeskim; powołany do Izby panów, przyłączył się do prawicy i należał do umiarkowanego stronnictwa młodoczechów. Literaturę medyczną wzbogacił cennymi dziełami z dziedziny swojej specjalności.

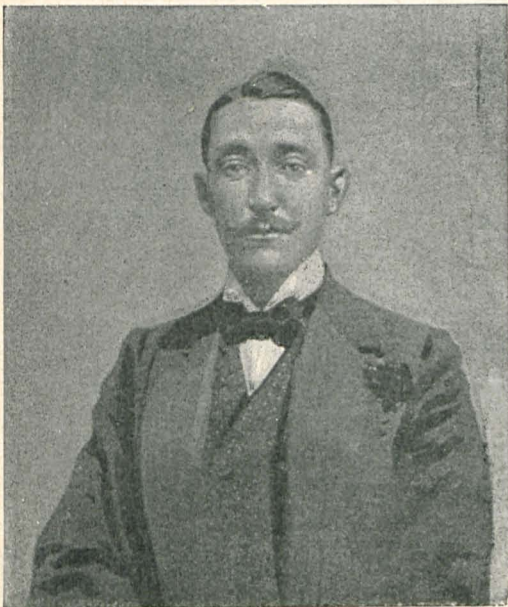
Dr. Ferdynand Hansemann, z Pępowa, naczelny wódz hakatyzmu, zmarł, przeżywszy lat 38. Był on, jak sam się pochwalil w piśmie *Ostmark*, inicjatorem całej nowej, w r. 1894-ym rozpoczętej kampanii antypolskiej i wspólnie z Tiedemann'em i Kennemann'em utworzył stronnictwo hakatystów.

Sprostowanie.

W N-r 39 „Tygodnika Ilustrowanego” do artykułu p. t. „Wieża w Wojciechowie” wkradła się omyłka. Mylnie wydrukowano nazwisko Orzechowski i nazwę miejscowości Orzechowo, co niniejszem prostujemy.

Wyprawa ks. Abruzzów.

Uważany w ostatnich czasach już prawie za zaginionego ks. Abruzzów powrócił razem z towarzyszami z krajny lodów i wieczystego zimna i znajduje się obecnie w kraju ojczystym. Plon naukowy tej wyprawy podbiegu-



Książę Abruzzów.

nowej stryjecznej brata króla włoskiego jest pokaźny. Książę wyruszył d. 11-go czerwca r. 1899 z Chrystyanii na pokładzie okrętu „Stella Polare“ z zamiarem dostania się do bieguna północnego saniami z Ziemi Franciszka Józefa. W ciągu roku ubiegłego wyprawa dotarła przez zatokę Nightingale i kanał Brytański do 82 st. 4 min. na północ. „Stella Polare“ zamarzała już w początkach września, i podróżnicy urządzili sobie siedzibę zimową na wielkiej bryle lodu, w odległości dwustu metrów od lądu. Podczas Świąt Bożego Narodzenia, książę, odbywając próbną jazdę saniami, odmroził sobie dwa palce u lewej ręki, tak, że musiano mu je amputować. Odtąd zaczął zapadać na zdrowiu i przez kilka mie-

siecy nie opuszczał namiotu. Zimno dochodziło do 52 st. Cels. Dnia 11-go marca, uczestnicy wyprawy, w liczbie dziesięciu, zabrawszy psy i sanie, pomaszzerowali na północ. W dziesięć dni później zawróciło z drogi trzech: porucznik marynarki Guarini, maszynista norweski Stöcken i włoski przewodnik alpejski Ulie. Do okrętu wszakże nie dotarli, a los ich dotychczas nie jest wiadomy; zginęli według wszelkiego prawdopodobieństwa wśród zawiei śnieżnej, lub też zostali zmiążdżeni przez nadpływające góry lodowe. Oddział drugi, złożony również z trzech ludzi, przekroczył po 20-to dniowym marszu 83 st., poczem powrócił na pokład „Stella Polare.“ Oddział trzeci wreszcie, pod wodzą kapitana Cagni, dotarł aż do 86 st. 33 min. szer. półn., czyli dalej niż Nansen, który doszedł do 86 st. 14 min.; do bardziej wysuniętego na północ punktu, niż ten oddział wyprawy ks. Abruzzów, nie dostał się zatem dotychczas nikt jeszcze.

Brak żywności zmusił ich do odwrotu; cała podróż trwała 115 dni, a przez ostatnie dwa tygodnie żywili się wyłącznie psiem mięsem. Łądu stałego nie znaleźli nigdzie, ani Ziemi Petermann'a, ani żadnej innej; dokoła mieli tylko lody i wodę, a w pewnym punkcie zanikł też już nawet wszelki ślad świata zwierzęcego. Uczestnicy wyprawy dokonali licznych spostrzeżeń meteorologicznych, pomiarów głębi wód podbiegunowych i przywieźli ciekawe okazy ze świata zwierzęcego i roślinnego strefy lodowej. Koszta wyprawy wyniosły milion lirów, a pokrył je z własnej szkatuły ks. Abruzzów. Celem odnalezienia zaginionych towarzyszy ks. Abruzzów, urządzana jest nowa wyprawa, która wyruszy z Chry-

styanii. Wyprawa ma się odbyć balonem, z zapoczątkowania marsylskiego towarzystwa aerostatycznego.

Życie społeczne.

Członkowie nowo utworzonego w Warszawie drugiego towarzystwa wzajemnego kredytu odbyli zgromadzenie organizacyjne, na którym dokonane zostały wybory do władz towarzystwa. Dotychczas na listę członków zapisało się 250 osób z kapitałem 67,500 rub. Pierwszy departament warszawskiej izby sądowej sądził w Piotrkowie sprawę Dymitra Dmitriewa, b. kasyera kasy powiatowej w Łasku, o roztrwonienie 166,000 rub. Obwiniony miał współwinnych w osobach: Pawła Dmitriewa, Garszyńskiego i Olesińskiego, Rywana, Szyftera, Bajkowskiej, Moszkowicza i Engela. Po kilkodziennych rozprawach sąd skazał głównego winowajcę, kasyera Dymitra Dmitriewa, na pozbawienie wszelkich praw i osiedlenie w mniej oddalonych miejscowości Syberyi; Paweł Dmitriew, Rywan i Szyfter zostali uniewinnieni; resztę obwinionych skazano na areszt miesięczny lub naganę sądową, Garszyńskiego zaś na pozbawienie wszystkich praw i przywilejów, oraz zamieszkiwanie w gub. Permskiej przez lat dwa. Wyrok na Dmitriewa i Garszyńskiego będzie przedstawiony do zatwierdzenia Monarsze.—W Cieszynie odbyło się d. 7 b. m. uroczyste otwarcie polskiej szkoły ludowej Macierzy szkolnej. Szkoła ta powstała ze składek publicznych, wśród których znajdujemy dar d-ra Hassewicza w sumie 84,000 koron, co znacznie ułatwiło otwarcie zakładu. Na razie zapisało się do szkoły 113 dzieci polskich, z tych 66 z samego Cieszyna.—Siedmioklasowa szkoła handlowa, założona przez kupiectwo warszawskie, otwarta została dnia 12 b. m. w mieście naszym. Nowa szkoła zalicza się do średnich zakładów naukowych i ma na celu udzielanie uczniom wykształcenia ogólnego i handlowego. Podle-

ga ona zwierzchnictwu ministeryum skarbu, a w szczególności departamentu handlu i rękodzieł. Prezesem rady opiekuńczej szkoły jest p. Stanisław Rotwand, dyrektorem i prezesem rady pedagogicznej p. Jerzy Cwietkowski.—Warszawskie Towarzystwo ubezpieczeń od ognia obchodziło 30-to lecie swego istnienia.

Humor i satyra.

Dobry interes.

— Skąd masz te wspaniałe butony brylantowe?

— Kupił mi je mąż na pamiątkę swego bankructwa.

☆ ☆ ☆

Najzaciętszy pesymista ma o sobie dobre mniemanie.

☆ ☆ ☆

On. Miłość nie powinna nas zaślepić, i musimy starać się odkrywać wzajemnie nasze błędy.

Ona. Daj pokój!... załatwią to nasi wspólni przyjaciele, skoro tylko dowiedzą się o naszych zaręczynach.

☆ ☆ ☆

Ci, którzy rozumieją tylko to, co się daje objaśnić, rozumieją bardzo mało.

☆ ☆ ☆

W szkole.

— Pierwsi ludzie byli zupełnie sami na świecie—objaśnia nauczyciel i, zwracając się do jednego z uczniów, pyta:

— Stasiu, co byś zrobił, gdybyś był sam na świecie?

— Pojechałbym do Lublina, bo tam mam ciocie—odpowiada malec z przebiegłym uśmiechem.

☆ ☆ ☆

W każdym rodzaju miłości kobiecej przebija cząstka miłości macierzyńskiej.

☆ ☆ ☆

Wyższość doktorek.

— Dlaczego chcesz koniecznie wezwać do żony doktorkę a nie doktora?

— Bo ta z pewnością przez zazdrość nie pośle jej do wód.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi Tygodnika ilustrowanego.

Leo Belmont: Rymy i rytmy, tomów 2. (Utworki oryginalne). Warszawa, 1900 r.—W dość niezgrabnej i silącej się na skromność przedmowie do dwóch grubych tomów (aż 768 str.) swoich „rymów i rytmów“, zapytuje siebie p. Leo Belmont: „...Chcesz więc *świata* (niezwykła skromność już z tego choćby zwrotu przebija) powiedzieć jeszcze raz to samo, lub prawie to samo, co rzekli już inni, powiedziec niemal tak samo, a może znacznie gorzej, niż inni, którzy przemówili przed tobą... Ma-ż to sens?“ Ponieważ „rymy i rytmy“ p. Leo Belmonta są bardzo wymowne, komentarzy nie potrzebują wcale, gdyż mówią same za siebie i nie nastroją czytelnikowi najmniejszej wątpliwości, czy to z powodu formy swojej, czy też z powodu treści, krytyk więc może zupełnie milczeć, pozostawiając sąd o tem, o co zapytuje autor, samemu czytelnikowi. Bierzemy na chybił trafił, wszystko bowiem w utworach p. L. B. ma jednakową wartość. P. Leo Belmont chce być

wiatrem... „Wnet życia *ja* zmienilbym tło“—powiada. „Toń morską skrzydłami *bym bil*, I głazy *bym* wstrząsał nadaną mi siłą i groźnie w pomroce *bym wy!*“ (24 str., t. I). P. Belmont „maluje“ las... „Každy pień swym długim cieniem legł i ziemię pocałował, w jasne, ciemne pasy trawę efekt światła pomalował“ (str. 60, t. I). A oto p. Belmont zagrzewa młodych wieszczów: „...Śpiewajcie, młodzi! choć który twardy łeb, w swych myśli cieśni, zaprzecza pieśni, że ziarn pożywnych nie rodzi, śpiewajcie, młodzi! Bo nie wie tego kiep, że pieśń to także chleb, słoneczny chleb, którym się gardzić nie godzi! Bo chleb niebieski ów wiązanych dźwięcznie słów, choć ostry jest, jak nóż, lecz koi tak, jak wprzód, straszliwy wieczny głód cierpiących serc i dusz... więc drwić się nie godzi... śpiewajcie, młodzi“ (str. 101, t. I). P. L. Belmont udaje dowcipnego: „Niema na świecie drobnostek; Semiramidy wiszący most i zwykły cielecy mostek, wszystko to wartość jednaką ma,

gdy w dobrą formę oprawne, zarówno może pouczyć myśl i być zarówno zabawne!“ (str. 199, t. I). P. L. Belmont „oprawia w piękną formę“ sprawy miłości, zarówno pouczające dla myśli, jak i zabawne: „Rozerwałem uścisk gałęzi, ach, rozkoszą jeszcze drżały liście! I z zielonej wyjrzawszy uwięzi, natrafiłem na alei wnijscie“ (str. 201, t. I). P. L. Belmont wyrabia w człowieku rezygnację: „Trzeba rozejrzeć się dobrze, nim wszystko okryje cień, a potem *napotkać* chrobrze chwilę, gdy kończy się dzień“ (str. 287, t. I). P. L. Belmont biada, z powodu zaniku własnej wyobraźni, która „teraz się stała jakaś obłudna, głupia, leniwa, szara i brudna...“ „W parodyę uczuć wpadam uczuciem, w *bezmysłnych* myślach myślą się grzebię, trzęsąc wrośniętem w wolę okuciem, czuję, że nie mam poczucia siebie!“ (str. 157, t. I). A oto jak śpiewa p. Belmont, kiedy „ma poczucie siebie:“ „Świadomość mnie pożera, jak cheiwy niedźwiadek, mój duch z niepewności umiera wśród życia zagadek!“

(str. 151), P. Belmont występuje w roli „niewolnika namiętności: „To namiętność ta podła, ta wstrętna... pijaniła moje młode zmysły, mnie czyła bezwolną istotą, aż mi dłonie w rezygnacji zwisły, ażem pobiegł bez pamięci w błoto!“ (str. 147, t. I). P. Belmont rozważa swoją młodość: „Ja-ż mej niedoli sam jestem winny?—Czy w niemowlęctwie wgrzyźł się w me lice jad, co w podściółce krył się dziecinnej, jak w Dejaniry białej tunice?“ (str. 145, t. I). P. Belmont zachęca swe pióro do pośpiechu, gdyż jest w *uczuć przylewie*, jak powiada... „Ja chcę w dźwięki odlewać *mój stan*. Moja dusza—to teraz *pięszczotna* panorama pomysłów i zmian“ (str. 12, t. II). P. Belmont zdaje sobie sprawę ze swoich uczuć: „Czy niebo wstąpiło w me serce, czy serce w niebo wstąpiło? Ha, niech się śmieją szyderce *nad tą zagadką* zawiła! Ja wiem: to miłość tak wpływa, że szmer brzydkich myśli głuszy, że wszystkie chwasty wyrwa z uszlachetnionej mej duszy“ (str. 35, t. II). P. Belmont uprawia astronomię: „Czemu ten księżyc, zamiast niebo zdobić, wygląda, jakby nie wiedział co robić, jakiś złamany, jakiś nieskończony, jakby za służbę źle był zapłacony“ (str. 51, t. II). Chociaż mógłbym do nieskończoności przedłużać cytowanie takich i podobnych ustępów, gdyż literalnie każdy utwór p. Belmonta jest w nie bogaty, sądzą, że czytelnik napewno teraz rozstrzygnie pytanie autora: „Ma-ż to sens?“ To, co przytoczyłem, pozwoli każdemu należycie odczuć wdzięk „rymów i rytmów“ p. Belmonta, wyrozumieć ich treść niepospolitą i myśl głęboką. Dla lepszego zdania sobie sprawy z bogactwa języka, używanego przez p. Belmonta, wypisuję tu kilka zwrotów, które stanowią prawdziwą ozdobę „rymów i rytmów.“ P. B. zna: „pociecz aptekę“ i „uśmiechu serwetę,“ i „apatyi kares,“ i „śmiej pustaczey biesiady,“ i „uścisk liściowy“ drzew, i „cele ćwierciowe,“ i „miłość kaleką“ i „światło niezgasalne“ i t. p. O czystości języka niech świadczą takie wyrazy, jak: „pijanić,“ „przyniewolić,“ „frazę,“ „przylew“ i t. p., albo takie zdania: „rozkoszna mnie świeżość *pochwyca*,“ „swój znamienny *kładnął* znak,“ „z nędznej poczwarki *tą właśnie doba*,“ „to mi do walki *doda pobudkę*,“ „gdzie nogą stąpne“ etc. To wszystko jest tylko kropelką w oceanie. Z wydania „rymów“ swoich usprawiedliwa się w ten sposób p. Leo Belmont:

Krytyk może pogryźć,

Ale przecie nie zje...

Alea est iacta:

Wydam me poezje.“

Niech się Sz. pan Leo Belmont uspokoi i niech bez obawy „*zgoryczy* swoje *rozbujałe żarty*“—jak powiada—żaden krytyk bowiem nie potrafi go ugryźć, żaden do tego stopnia łakomym nie jest...

W. Jabłonowski.

Fryderyk Nietzsche: Ryszard Wagner w Bayreuth, przełożyła Marya Cumft-Pieńkowska.—Jest to jedna z dawniejszych prac Nietzschego, którego poglądy na znaczenie Wagnera uległy później głębokiej zmianie. Początkowy entuzjasta przeobraził się w nieubłaganego przeciwnika muzyki, która zdaniem jego wpływała osłabiająco na energię duchową ludzkości. Broszura wymieniona w nagłówku jest bardzo subtelnym komentarzem do estetyki i muzyki Wagnera. Przekład staranny.

Mieczysław Rościszewski: Kartograf.—Album wzorów wierszowych do kart korespondencyjnych. Podręcznik dla pań i panów.

Ks. Antoni Szlagowski: Konferencye, wypowiedziane na rekolekcyach dla mężczyzn w kościele Św. Józefa w Warszawie.

ODPOWIEDZI.

—*

P. K. L. R. Językiem literackim w Norwegii jest język duński. Język potoczny norweski jest właściwie dialektem duńskiego. Swoją drogą wielu autorów próbowało i próbuje zrobić z narzecza norweskiego samoistny język literacki.—Poeci prowansalscy piszą po prowansalsku, nie po francusku. Język prowansalski, zwany „Langue d'oc,“ posiada literaturę bardzo bogatą. Niegdyś był on językiem zupełnie równouprawnionym z językiem północno-francuskim, który powoli dzięki warunkom politycznym wziął górę. Język prowansalski jest do dziś dnia językiem żywym.—Język belgijski nie istnieje, ale istnieje szkoła poetów belgijskich, piszących co prawda po francusku, ale posiadających wiele cech odmiennych od typu czysto francuskiego.—Kto jest krytykiem literatury polskiej w instytucie Nobla—nie wiemy.—O genialności danego poety decyduje potomność. Ci, którzy nazywają Ibsena „geniuszem,“ wpadają w przesadę. Ibsen jest olbrzymim i oryginalnym talentem, ale nie geniuszem.

P. Marya Z. Można się dowiedzieć w zakładzie Św. Kazimierza na Tamce.

Ja..wicz. Wiersz bardzo ciepły, ale szwankuje lekko na punkcie formy. Zakomunikowaliśmy go poecie.

Dawna prenumeratorka. Ks. rektor Chełmicki, oraz pp. Chamiec i Rose.

P. Maurycy P. „Ze ścieżek duszy“—nieźle, jako próbka, ale tylko jako próbka.

P. K. B. Wszystko to już było i w wierszu, i w prozie.

P. J. Wal. „Alegorya“ jest, nawet jak na alegoryę, za zimna i sucha. „Neutralny kamień“ niezbyt pięknie brzmi w utworze poetycznym, należałoby wynaleźć określenie bardziej polskie i mniej abstrakcyjne.

P. Antonina Mut. „Nieświadomości“ drukować nie będziemy. Wogóle dzieła w formie dramatycznej dajemy tylko w wyjątkowych razach. Rękopis zatrzymany do zwrotu.

—*—

Od redakcyi.

—*

Każdy prenumeratorka „Tygodnika Ilustrowanego“ w r. b. 1900 otrzymuje

bez żadnej dopłaty co miesiąc tom

Dzieł H. Sienkiewicza,

czyli rocznie 12 tomów.

Przy niniejszym numerze „Tygodnika“ dołącza się dla wszystkich prenumeratorków tom XXII pism H. Sienkiewicza, zawierający: „Rodzinę Połanieckich“ (dokończenie).

Na oprawę 12-tu tomów Sienkiewicza w roku bieżącym dołączać należy rub. 2; w tym stosunku oprawa 6 tomów kosztuje rub. 1, oprawa 3 tomów 50 kop.

Cena ozdobnej okładki na komplet półroczny „Tygodnika Ilustrowanego“ rub. 1, przesyłka okładki kop. 35, przesyłka 2 okładek kop. 50. (1 złr. 90 ct., z przesyłką 2 złr. 10 ct.).

Ze względu na wielką liczbę zapotrzebowań na oprawne egzemplarze dzieł Sienkiewicza, prosimy, dla unormowania nakładu, o wczesne nadsyłanie tych zamówień, ażebyśmy odpowiednią liczbę opraw przygotować mogli.

Kwartał I Tygodnika ilustrowanego z roku bieżącego jest zupełnie wyczerpany. Prenumeratorkowie od II kwartału mogą nabywać 3 pierwsze tomy Sienkiewicza z r. b. (t. 13, 14 i 15) za dopłatą rub. 1 kop. 50, lub rub. 2 za też tomy w oprawie.

—*— NADESŁANE. —*—

WYDAWNICTWO

⇒ GEBETHNERA i WOLFFA
w WARSZAWIE.

CECYLIA NIEWIADOMSKA

⇒ A B C ⇒

poglądowe.

NAUKA CZYTANIA i PISANIA
ulożona według najnowszych zasad wychowawczych z 345 rysunkami JANA HOLEWIŃSKIEGO, z dodaniem powiastek i wierszyków najcelniejszych autorów.

Na pięknym papierze, w dużym formacie, w oprawie kartonow. rub. 1.20.

Wyd. ozdobne na papierze welinowym w pięknej chromolitografowanej okład. ze złoceniami rub. 1.50.

W. Przyborowski

Historia

Sześciu Miesięcy

Ustęp z dziejów 1862 roku.

1 tom, str. 352, rub. 1 kop. 50.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Nakład księgarni K. GRENDYSZYŃSKIEGO
w Petersburgu.

JAN WDZIĘKOŃSKI

dentysta, powrócił z za granicy. Przeprowadził się na ulicę Hortensya Nr 7, m. 2. Plomby emaliowane systemem D-ra Jenkinsa, zęby sztuczne i wszelkie operacje w zakresie dentystyki wchodzące.

Nowo-przebudowany i powiększony

MAGAZYN FUTER

Tytusa Kowalskiego

ul. Senatorska 10, w Warszawie.

Ma zaszczyt zawiadomić, że do kroju damskich żakietów, Palt i Rotund sprowadził krojczego z najpierwszego domu paryskiego „Maison Felix,“ Faubourg St. Honoré Nr 15 w Paryżu, który to krojczy tamże przez lat 14 pracował. Magazyn poleca gotowe futra damskie i męskie, mufki, kołnierze, boa, dachy i t. p. Puch edredonowy.

Lekarz dentysta A. ZAWADZKI

Jerozolimska 49, róg Marszałkowskiej.

Wszyscy lekarze uważają naturalną wodę gorzką

FRANCISZKA JÓZEFA

jako jedyny przyjemny saliniczny środek oczyszczający, który brany w małych dawkach, działa bezwzględnie pewnie, zawsze rozwalniająco. Na 10 wystawach powszechnych złotymi medalami odznaczona. Jest wszędzie.

PRZEPROWADZKI
A. WRÓBLEWSKI i SKA
TRĘBACKA 13.
OPAKOWANIE
MEBLI